Nr. 17. Lwów, Niedziela dnia 23. Kwietnia 1876 r. **Rok III.**

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

TOM III.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Wydawca i redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Biuro Administracji i Redakcji:
Ulica Halicka l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 28 m. półrocznie 14 m. kwartalnie 7 m.
NA PROWINCJI:
Rocznie 34 m. półrocznie 17 m. kwartalnie 8 m. 50 f.

LUŹNE UWAGI.

XVI.

Badania przyrodniczych właściwości kraju.

I. W skutek wezwania Sejmu krajowego, komisja fizjograficzna Akademji umiejętności w Krakowie wypracowała plan zbadania przyrodniczych właściwości Galicji. W trwającej obecnie sesji plan ten został w całości przez reprezentację krajową zatwierdzony, więc już w tym roku uczeni rozmaitych fachów rozpoczną systematycznie pracować nad zbadaniem rzeźby kraju i wzniesień nad poziom morza, zbadaniem geologicznych jego właściwości i wykreśleniem dokładnej mapy geologicznej, nad zbadaniem fauny i flory krajowej ze szczególnem uwzględnieniem zwierząt i roślin użytecznych lub szkodliwych dla gospodarstwa krajowego, składu chemicznego ziemi i wody w różnych częściach kraju, tudzież glinek, wapieniów, marglów, nafty, wosku ziemnego, łupków, węgla, rud, skał i innych wykrytych w kraju kopalin, nad zbieraniem materjałów do klimatologji krajowej, a wreszcie nad zbadaniem zmienności stanu wód w rzekach krajowych.

Równocześnie ma być założone przy Akademji umiejętności w Krakowie muzeum płodów krajowych, któreby przedstawiało naoczny obraz przyrodniczej właściwości kraju, i służyło zarazem za podstawę do ostatecznego skreślenia fizjograficznego opisu kraju.

Preliminarz kosztów, które komisja fizjograficzna Akademji umiejętn. w Krakowie przedsięwziąć ma w tym kierunku w ciągu r. 1876 jest następujący:

Pomiary orograficzno-geologiczne	zł.	600	wa.
Badania geologiczne	„	1200	„
„ zoologiczne, botaniczne i meteorologiczne po 500 zł.	„	1500	„
Rozbiory chemiczne	„	300	„
Wydawnictwo sprawozdania z czynności w ciągu roku dokonanych, druk materjałów do fizjografji krajowej, rysowanie i wydawanie map itp.	zł.	1300	wa.
Muzeum	„	300	„
Zakupno map	„	120	„
Koszta kancelaryjne	„	79	„
Razem	zł.	5399	wa.

Z tej kwoty fundusz krajowy pokryje 3000 zł. resztę zaś dopełni Akademja z własnych środków.

Badania wyżej pomienione będą prowadzone jednocześnie we wschodniej i zachodniej części kraju: w części zachodniej kraju badanie pasami kraju postępować ma od zachodu ku wschodowi, we wschodniej zaś od wschodu ku zachodowi. W tym celu oznaczy co roku przed 15. marca osobny komitet, złożony z przewodniczącego komisji i przewodniczących sekcyj, które okolice kraju mają być badane. Komitet ten wystara się u dyrekcji c. k. wojskowego Zakładu geograficznego we Wiedniu o fotografowane kopje map sztabu jeneralnego, wykreślonych podług skali 1 : 28.000, o ile zaś można podług nowej skali 1 : 25.000 części kraju, które mają być badanemi. Przy szczupłych funduszach, któremi komisja rozporządza, będzie mógł być wyznaczony corocznie tylko jeden badacz dla wschodniej, i jeden dla zachodniej części kraju, który w wyznaczonej okolicy będzie miał obowiązek równocześnie przeprowadzić badania topograficzno-orograficzne, geologiczne, zoologiczne i botaniczne. Badacze ci będą mieli obowiązek obejść w miesiącach letnich całą przestrzeń do badania przeznaczoną, dokonać prace, dające się tylko na miejscu załatwić, porobić potrzebne notatki, zaznaczyć je na miejscu na mapie gdzie tego potrzeba — słowem, zebrać potrzebny materjał. Każdy z tych badaczy w zimowych miesiącach zajmie się zestawieniem i obrobieniem tego materjału, tudzież ułożeniem sprawozdania z prac dokonanych, jakoteż opisem zbadanej przez niego części kraju. Zebrany materjał, zbadany i oznaczony przez geologów, zoologów i botaników złożony zostanie do muzeum przyrodniczego przy Akademji umiejętności, sprawozdania zaś i opisy odstąpione zostaną odpowiednim sekcjom do dalszego zużytkowania. Gdzie tego okaże się potrzeba według zdania powyżej wymienionego komitetu, zebrany przez badaczy materjał odstąpiony zostanie sekcji chemicznej dla dokonania rozbioru.

Prace nad zbadaniem przyrody całego kraju potrwać muszą przynajmniej 15 lat gdyż jeden badacz — czy to geolog, czy zoolog, czy botanik, czy miernik nie potrafi zbadać więcej w ciągu kilku miesięcy letnich jak 40 do 50 mil kwadratowych, a tem samem corocznie zaledwie 80 do 100 mil kwadratowych może być zbadanych: jedna połowa tej przestrzeni w zachodniej, a druga we wschodniej części kraju. Komisja fizjograficzna będzie też co roku wydawała opisy pojedynczych części kraju, pod każdym względem już zbadanych, nie czekając na wykończenie całego dzieła. Będzie to dokładny opis fauny i flory pojedynczych okolic, ich opis topograficzno-orograficzny, sprawozdanie z wypadków dokonanych rozbiorów chemicznych jakościowych i ilościowych, materjały do klimatologji kraju, szereg map geologicznych, orograficznych, hydrograficznych, klimatologicznych itp.

Nie przewidując, o ile fundusz jej starczyłby na odpowiednie wynagradzanie jednego lub dwóch stałych pracowników, liczyć musi przedewszystkiem na patrjotyczne poświęcenie się mężów nauki w kraju naszym, którzyby zechcieli bezinteresownie swój czas wolny od zawodowych zatrudnień użyć na badanie przyrodniczych właściwości kraju, mianowicie na rozsianych w rozmaitych okolicach kraju nauczycieli historji naturalnej i fizyki w szkołach średnich, niektórych zdolniejszych nauczycieli szkół ludowych i innych miłośników nauk przyrodniczych. Komisja fizjograficzna dostarczy im potrzebnych dzieł, map, narzędzi, tudzież przeznaczy im ryczałtową kwotę na koszta podróży, i na pokrycie rzeczywistych na wskazane cele poczynionych wydatków.

CHRZEST POLSKI.

Powieść ze zdarzeń ostatnich, w trzech częściach
przez
J. Dzierzkowskiego i Wł. Sabowskiego.

(*Ciąg dalszy*).

CZĘŚĆ TRZECIA.

Emigrant i wygnaniec.

III.

Stało się dziś zwyczajem u publicystów pewnego stronnictwa miotać pociski na ten ruch narodowy na tle którego odbywa się powieść nasza. Naturalnie nie na kartach powieści może być miejsce do polemiki z opiniami wstrętnemi, jakie są wygłaszane przy sposobności takiej krytyki działań i dążeń sprawców tej ruchawki, i przyznają nam czytelnicy, żeśmy się pociągowi do takich sporów na kartach pracy naszej uwodzić nie dali. W tej chwili jednak sama konieczność sytuacji dotknąć nam każe największej bez zaprzeczenia a zapoznanej, a raczej przywłaszczonej sobie przez kogo innego zasługi ostatniego powstania.

Powstanie usamowolniło włościan nietylko w naszym kraju, gdzie stan ludu mimo pańszczyzny był jeszcze zupełnie znośny, gdzie stosunek chłopa do pana był bądź co bądź stosunkiem człowieka do człowieka, ale w całym caracie, gdzie aż do marca 1864 chłop był rzeczą, ruchomością, towarem.

Wolno urzędowym carskim historjografom widzieć w akcie uwłaszczenia akt wspaniałomyślności cara oswobodziciela, płatni są oni za to, żeby przez takie okulary patrzyli, ale nie zaprzeczy kiedyś bezstronny sąd historji, a nam już dzisiaj zamykać na to oczu nie wolno, że gdyby nie manifest 22 stycznia, gdyby nie powstanie polskie, nie byłoby bynajmniej tej wrzekomo wspaniałomyślnej i niby to carskiej reformy. Jeżeli które powstanie, to ostatnie miało prawo na chorągwiach swoich wypisać ową legendę o „naszej i waszej“ wolności, i ono jedno ma prawo powiedzieć, że tę wolność wywalczyło w połowie, bo nie dla tych, którzy pod jego chorągwiami stali, lecz dla tych, którzy od jego chorągwi stronili, którzy dla jego celów i dążeń byli obojętni, a nawet tak często wprost wrodzy...

Naturalnie nie zasądzamy tutaj całkowitej zasługi uwłaszczenia na rzecz sprawców ostatniego powstania. Nie w ich głowach dopiero urodziła się myśl tej reformy, i smutnem by też było dla naszego społeczeństwa, gdyby myśl takiej reformy powstawać miała dopiero w ostatniej chwili, w głowach ludzi, którzy prawie nie stykali się z ludem, bo albo świeżo z ław uniwersyteckich zeszli, albo z tułaczki po obczyźnie powrócili niedawno do kraju. Myśl ta urodziła się dawniej, i przyszła na świat tam, gdzie przyjść była powinna, pomiędzy tymi właśnie, na których korzyść istniał anormalny stosunek pana do chłopa. Tam ją opracowano, tam z nią oswojono ogół, tam dla niej wyrobiono prawo obywatelstwa, tam ją nawet po części w czyn wprowadzono, nim Aleksander-Oswobodziciel pierwszy raz usłyszał od któregokolwiek ze swych ministrów, że kto wie czy mu może być oswobodzicielem nie wypadnie, a raczej czy mu nie wypadnie wydrzeć z rąk powstania tej broni, którą ono przeciw caratowi podniosło. Powstanie w uwłaszczeniu włościan ma tylko tę zasługę, że tę zasadę wzięło sobie za godło, że temu godłu nie sprzeniewierzyło się nigdzie i nigdy, że za nią przelewało krew, i że nie upadło dopóty, dopóki nie przekonało zbyt trudnego do zwalczenia wroga, że chociaż z walki wyjdzie zwycięsko, musi jednakże, z dobrej niby woli, oddać część tego o co toczyła się walka.

I rząd moskiewski przekonał się, że uwłaszczenie stało się nieuniknionem. Można było złamać opór walczącego narodu, ale nie można już było zmazać w umysłach mas tego słowa „wyswobodzenie,“ tak je tam głęboko i niezatarcie partyzanci 1863 roku wyryli.

A Moskali jeżeli będą chcieli kiedykolwiek przed sądem dziejów dowodzić swego prawa własności względem pomysłu i inicjatywy uwłaszczenia, historja spytać będzie musiała, gdzie są i jakie są ich anteriora w tej kwestji. Będą mogli wskazać na jeden tylko fakt, że kiedyś przed powstaniem w jednej z gubernji, szlachta, między którą była znaczna część Polaków lub spokrewnionych z Polakami, powzięła szaloną myśl podać do cara adres w którym zuchwalstwo swoje posunęła do tego stopnia, że się odważyła napomknąć, iż istniejący i Swodem Zakonów zawarowany stosunek poddańczy jest cokolwiek z postępowemi ideami niezgodny i wymagałby może pewnego rodzaju ulepszeń. Takie „najpoddanniejsze“ przedstawienie zostało najsurowiej zgromione przez tego samego monarchę, który w kilka lat potem nie wahał się sięgnąć po tytuł oswobodziciela, zapisany w buntowniczym programie tych którzy przeciw jego carskiej władzy oręż podnieśli. Adres ów jest jedynym śladem, że w społeczeństwie moskiewskiem istnieli choć w niezmiernej mniejszości ludzie, którzy śmieli myśleć o czemś podobnem, zresztą kwestji tej nie rozbierano ani w pismach, gdyż nie pozwoliłaby na to cenzura, ani w stowarzyszeniach, bo stowarzyszeń nie było, ani nawet w działach ekonomicznych i społecznych, gdyż do bardzo niedawna jeszcze piśmiennictwo moskiewskie w tych gałęziach składało się z samych tłumaczeń.

I na tak nieprzygotowanym gruncie wystrzeliłaby nagle z głowy potężnych władców myśl reformy tak doniosłej, myśl o której pod grozą gniewu carskiego wspomnieć parą lat przed tem nie było można?... Śmiesznem byłoby podobne twierdzenie i historja rada nie rada przyjąć będzie musiała że myśl tej reformy wyjętą została żywcem z powstańczego manifestu, i grunt do niej nie był nieprzygotowany, bo go krew partyzantów użyźniła.

A jakiekolwiek grzechy ciążyły na ostatniem naszem powstaniu, ta jedna jego zasługa jest wszystkich tych grzechów odkupieniem.

Przyjmując z rąk pana marszałka dokument dający jej prawo podróżowania po całych obszarach caratu, Konstancja przyjmowała oficjalnie ów stosunek poddańczy w całej jego ówczesnej surowości, stawała się czyjąś własnością.

W stosunkach poddańczych caratu poddany dla rządu nie istniał, istniał tylko pan jego, któremu w *rewizskich skazkach* (spisach ludności) liczono tyle dusz więcej oprócz jego własnej, pod wieloma zresztą względami nie wchodzącej w rachunek, ilu miał dorosłych mężczyzn w swych włościach. Kobiety nie liczyły się wcale. Za wszystkie te dusze i niedusze, to jest za mężczyzn i kobiety, pan płacił podatki i od nich je wybierał, pan oddawał kogo z nich chciał w rekruty, i bez zezwolenia pana żadnej z nich nigdzie ruszyć się nie było wolno. Rząd w to wszystko się nie mięszał. A w stosunku takim zostawali nietylko chłopi, lecz zostawała najmniej połowa kupców moskiewskich, ludzi nieraz miljonowych, którzy za to że im ich właściciel pozwalał trudnić się handlem, zamiast uprawiania jego roli, opłacać mu się musieli według stopy przez jego własną fantazję ustanowionej, nie podległej żadnemu ograniczeniu. Zdarzało się, że właściciel jednej tylko duszy poddańczej, hulaka, który stracił cały majątek, żył jeszcze dostatnie i bogato, bo ta jedyna dusza, którą mógł dowolnie obdzierać i wyzyskiwać, była miljonowym kupcem w Moskwie lub Petersburgu i musiała mu się opłacać dziesiątkami tysięcy rubli rocznego haraczu...

Przyjmując *wid* z rąk marszałka, Konstancja nie potrzebowała przybierać chłopskiej odzieży, nie potrzebowała kryć się ze swoją zamożnością, ani używać takich środków podróżowania jakich zwykle używają włościanie, a zyskiwała swobodę ruchów. Wiedziała o tem i zdawało jej się, że ten pozorny zresztą tylko stosunek zależności nie narazi jej na żadne nieprzyjemności i przykrości w długiej podróży.

Myliła się jednakże. Nie znała wszystkich następstw połączonych z przyjęciem na siebie oficjalnem charakteru poddanki, i gdyby je była znała, kto wie czy byłaby się zdecydowała na krok podobny.

Póki przejeżdżała przez kraj Zabrany, nie dawało jej się to jeszcze uczuć. Z pierwszym wstępem na czysto-moskiewską ziemię przekonała się zaraz, że się zaawanturowała bardzo.

W podróży niepodobna było uniknąć noclegów i długich najczęściej przystanków. Trafiało się to najczęściej w miasteczkach. Jeżeli w miasteczku takiem nie było garnizonu, przyjazd i zatrzymanie się nie zagrażało jej niczem. Wchodziła w styczność niejaką z mieszkańcami i przekonywała się, że to lud w gruncie dobry, chociaż obałwaniony i zezwierzęcony do pewnego stopnia przez system rządowy. Oddawano jej drobne przysługi z szczerą chęcią, zapłatą, hojnie naturalnie, przyjmowane z czołobitnością niewolniczą, widziała w koło siebie sympatję, czuła się niezależną i bezpieczną, o paszport nie pytano jej prawie, i do urzędu miejskiego nie wzywano, a jeśli zapytano i wezwano to najczęściej horodniczym był człowiek stary, który na lichej posadzie w małej mieścinie kończył swoją karjerę urzędową, otoczony liczną rodziną, wolny od płochych myśli, marzący tylko o pozytywnym kubanie, w skro-

mnej kwocie *połtynnika* lub *całkowego* (półrubla albo rubla.)

Zmieniła się jednak postać rzeczy jeśli w miasteczku był garnizon. Konstancja jeszcze nie wjechała do zajazdu w którym się miała zatrzymać, a już rozchodziła się po mieście wieść, którą praporszczyki raportowali porucznikom:

— Przyjechała *kakaja-to krasawica.*

Ten któremu najpierwej w oku wpadła biegł do horodniczego, od horodniczego spieszył natychmiast do zajazdu stójkowy, po papiery nowo przybyłej, a gdy je przyniósł, przeglądał je naczelnik miasta z oficerem, i można sobie wyobrazić z jakiem zadowoleniem oficer dowiadywał się, że interesująca nowoprzybyła piękność jest poddanką.

Poddanka!... Ależ z poddanką można sobie wszystkiego pozwolić, z poddanką nie potrzeba długich ceremonij!

— *Pazwat' siejczas w kancelarju,* — gzzmiał rozkaz horodniczego wydany na zachęcające spojrzenie lub słowo oficera.

I biedna kobieta złamana, przygnębiona, smutna, a tem piękniejsza podobno że poważna i smutna, musiała spieszyć do carskiego urzędu, ażeby nie wyjść z charakteru, który dobrowolnie przyjęła, ażeby się nie narazić na bezwzględniejsze traktowanie, na odwidziny policyjne w domu zajezdnym, gdzie wypocząć potrzebowała.

Horodniczy zaczynał indagację formalną choć niepotrzebną, bo dokument był w porządku. Oficer przypatrywał się w milczeniu.

Męczona bezcelowemi pytaniami kobieta musiała odpowiedzieć coś takiego, do czego horodniczy mógł się przyczepić, dlatego że szukał przyczepki. Podnosił głos, zaczynał łajać prawie, do rozpaczy przyprowadzając oszołomioną i modlącą się w duchu, żeby się to jak najprędzej skończyło Konstancję.

Wiedząc o magicznej potędze rubla sięgała ona naówczas do kieszeni.

Ale tutaj nie o rubla chodziło. W tej chwili właśnie zjawił się nieproszony opiekun w osobie oficera, na którego intencję horodniczy odgrywał całą tę scenę.

— Panie horodniczy — mówił oficer — cóż znowu? Któż widział tak dokuczać kobiecie ślicznej, młodej, aniołowi... Tak, tak, panie horodniczy, ja wam daję *czastnoje słowo*, że ta pani anioł!...

I bezpośrednio po tej przymowie oficer zwracał się do Konstancji.

— Wierz mi pani, albo nie wierz, daję słowo... oficerskie słowo daję.., że dwanaście lat nie widziałem tak ślicznych oczek jak pani oczki!...

I być może!... Pan porucznik przez dwanaście lat patrzył tylko w oczy sołdatów albo zajazdowych piękności.

Wiecież co najczęściej ratowało Konstancję od takiej nieproszonej opieki, od tych obcesowych zalotów?

Bądźmy sprawiedliwi, oddajmy sprawiedliwość tej, która wielu słusznie potępiła dlatego że jest nadużywaną, i przez to wiele złego nam czyni, — oddajmy sprawiedliwość francuzczyźnie, ona to wiele razy oddała Konstancji nieocenione przysługi.

W arsenale sprytu kobiecego odszukała żona Stanisława tę broń. Odzywała się w takich położeniach do zaczepiającego oficera po francusku.

Oficer umiał albo nie umiał, wychodziło to na jedno. Francuzczyzna imponowała mu, silił się na nią i starał się być grzecznym. Być może, że sobie układał iż w drodze francuskiego romansu dopnie tego samego czego chciał dopiąć zrazu przez obcesowość czysto moskiewską, w każdym razie francuzczyzna była rodzajem szańca, który powstawał nagle jakby z pod ziemi między obozową rubasznością żołdaka a bezbronnością Konstancji. Więcej nawet. Oficer w ten sposób oddalony, uważał się za zbliżonego i z tego tytułu sam już trzymał w oddali innych swoich kolegów.

A drugą bronią niemniej skuteczną było kłamstwo. Używała go Konstancja ile razy jej było potrzeba i umiała używać bardzo skutecznie. Niech ją za to purytanie potępią, nam się zdaje, że kłamstwo było bezpośrednim wynikiem jej położenia, było jej paszportem. Skłamanem było jej nazwisko, stan, kłamstwem był dokument który przedstawiała małomiejskim policjantom i kłamany cel jej podróży. Ktoby w takich warunkach umiał niekłamać dalej, zaprawdę dokazałby sztuki, której my od naszej bohaterki żądać wcale nie mamy prawa.

Nauczona doświadczeniem czy przestrzeżona instynktem kłamała więc Konstancja, że dłużej pozostanie w miasteczku. Silący się na francuzczyznę, lub popisujący się ze znajomością nadsekwańskiego djalektu oficer, wyobrażał sobie, że będzie miał kilka dni czasu na zrobienie cywilizowanej konkiety, tymczasem ofiara wymykała mu się nazajutrz jeszcze przed świtem, gdy leżąc na niezbyt wygodnem łożu swojej kwatery rozkoszował się marzeniami o powabach i wdziękach pięknej kupcowej z Podola, co tak ślicznie po francusku mówiła.

Nie wystarczało to jednak niekiedy, i niezawsze tak łatwo jej było wydobywać się z sideł jakie na nią zastawiano po drodze.

W pewnem miasteczku, gdzie nawet garnizonu nie było, zawezwano ją do policji.

Urzędnikiem który ją przyjął był człowiek średniego wieku, z nosem cokolwiek barwą zdradzającym filozofa ze szkoły spirytualistów. Wyraz twarzy przyzwoicie bydlęcy towarzyszył temu nosowi. Ruchy i ton głosu zdradzały człowieka, który się czuł samowładnym panem w miasteczku. Spojrzał na wchodzącą Konstancję groźnie, zapytania zadawał jej szorstkim głosem.

Wnuczka rotmistrza zanadto dużo drogi już przebyła, żeby jej to miało być nieprzyjemne. Wiedziała, że takie opryskliwe indagacje najczęściej rublem się kończyły, i była na to najzupełniej przygotowana.

Tym razem jednak inny obrót rzeczy wzięły.

Czynownik spojrzał na nią z podełba raz, i wnet oczy spuścił w papiery, spojrzał drugi raz i dłużej wzrok zatrzymał, a potem już patrzył w nią ciągle i oblizywał się znacząco.

Ton mowy zmienił nagle na bardzo grzeczny, sam jej krzesło przystawił, starał się być szarmanckim, nadskakującym, zaczął rozmowę o rzeczach obojętnych, powoli puścił się w komplementa, wreszcie zaproponował, żeby się pofatygowała do jego kancelarji na *stakanczyk czaju.*

Konstancja odmówiła stanowczo, i usunęła się od niego.

Czynownik zmierzył ją wzrokiem jak gdyby chciał czytać w jej oczach. Nic widać dobrego nie wyczytał dla siebie, bo nagle zmienił politykę.

Namarszczyły mu się brwi, wstał z krzesła i groźnie spojrzawszy na przestraszoną kobietę, rzekł:

— Wy Polka?..

— Z Podolskiej gubernji — odpowiedziała.

— *Eto znaju iz bumagi* — więc Polka.

— Prawosławna — szepnęła Konstancja.

Biedna kobieta wypierała się narodowości i wiary, chociaż nie trzebaby rozpaczać ani o narodowości ani o wierze, gdyby tylko takich miały zaprzańców!

— *Eto łoż!* (to kłamstwo) — rzekł czynownik — ja w polskich guberniach służył, wy macie akcent polski.

— Być może... między ludnością polską mieszkam...

— Nie być może, no *toczno tak*.... wy Polka i nie poddanka...

— Ależ panie sowietniku...

— Ja nie sowietnik ja assesor...

— Więc, panie assesorze...

— *Połno!* — przerwał moskal — ja tu mam *donos,* pani uciekasz przed aresztem, jesteś skompromitowana, rysopis który mi przysłano zgadza się zupełnie.

Konstancja uczuła że nogi chwieją się pod nią.

— Panie assesorze, to omyłka...

— *Uwidim* — odpowiedział — a tymczasem...

Klasnął w ręce. Sążnisty jakiś stupajka ukazał się na progu.

Assesor gestem wskazał kobietę i rzekł głosem nie przypuszczającym repliki.

— *W tiurmu pasadit! wartu pastawit!*

To powiedziawszy odwrócił się od składającej ręce Konstancji i poszedł do swojego mieszkania wypić ów *stakanczyk czaju,* na który ją do kompanji zapraszał.

Żołnierz zbliżył się do Konstancji, ażeby wykonać rozkaz zwierzchnika, w tem otworzyły się drzwi, pokazał się siny nos assesora, a za nim twarz, tym razem ułożona w uśmiech łagodny i dały się słyszeć wyrazy:

— *Jesli wam ugodno,* to ja was zatrzymam w areszcie domowym, u mnie tutaj w mieszkaniu, dopóki się ta pomyłka nie wyjaśni. Wybierajcie.

— Żądam sprawiedliwości nie łaski i względów — odparła dumnie Konstancja — jeżeli prawo każe zamknąć mnie w turmie, idę do turmy.

— *Kak choczetie!* — odpowiedział wzruszając ramionami czynownik.

I zwracając się do stupajki dodał.

— *W tiurmu!.. atdielno! politiczeskaja!..*

Po tych słowach posłał Konstancji całusa od ust i rzekł z największą na jaką się mógł zdobyć grzecznością:

— *Do swidanja!*

Konstancja nie widziała już tego ruchu i nie słyszała podobno słów, które byłyby ją większą jeszcze przejęły trwogą.

Szła za żołnierzem i modliła się z cicha.

*

Miała głęboką wiarę w cudowną moc psalmu „Kto się w opiekę,“ którego się nauczyła dzieckiem jeszcze, powtarzała więc z przejęciem się jego wyrazy i jakaś nieziemska wstępowała w nią otucha, że ją ocali Ten, który jeden tylko mógł teraz ocalić...

W kilka chwil potem zamknęły się za nią drzwi odrapanej i wilgotnej celi w małomiejskiem moskiewskiem więzieniu.

Gdy usłyszała skrzypienie rygla, zadrżała. Było to jak wieko trumny, które się zawierało za nią.

— Kiedy ztąd wyjdę?.. co się ze mną stanie?.. Boże mój!..

Te tylko słowa wydobyły się z jej ust, chwilę potem spędziła w bezwładnem milczeniu, następnie obejrzała się po celi.

Nic więcej nie było prócz stołka, stolika, tapczanu, małego okienka zakratowanego umieszczonego wysoko w górze, i drzwi z szybką zabrudzoną...

Przez tę szybkę patrzyło na nią dwoje oczu... (C. d. n.)

Przygody w Indjach

podróżnika

Tomasza Anquetil.

(Ciąg dalszy.)

Prowincjał czekał już na mnie; ujrzałem go jak rzeźkim krokiem przechadzał się po swojej galerji; moje wino z chininą i talent kucharski Józefa dokazywały cudów. Siedliśmy we dwóch do objadu; wikarjusze z powodu jutrzejszej ceremonji niemogąc się uwolnić od surowego postu, nie dotrzymywali nam towarzystwa. Staruszek z zaciekawieniem słuchał mego opowiadania o parku, ciesząc się wrażeniem jakiegom doznał i pochwałami, których nie szczędziłem. Nagle zmieniając tok rozmowy zapytał o wizytę w klasztorze zakonnic. Była to sprawa delikatna, i miałem wielkę ochotę zgrabnie ją ominąć, ale przyparty wyjawiłem bez ogródek moje mniemanie i litość którą mię przejął los tych dwojga nieszczęśliwych kochanków.

— Ludzie światowi — przemówił staruszek poważnie — często zapatrują się na rzeczy ze stanowiska błahego poglądu i natychmiastowych rezultatów, bez względu na łączność wypadków, które z wieku na wiek wiążą się i splatają, dla tego też cele Opatrzności często są zapoznawane przez profanów. Złe i dobre idą bezustannie obok siebie. Znajdź mi pan prawo którego by nie można na złe obrócić, i zasadę która by w zastosowaniu zawsze wywoływała też same skutki. Czyż nawet prawda sama nie jest względną? Czy czas, miejscowość i stosunki nie wpływają na pogląd ludów w kwestjach politycznych lub religijnych? Jedni karzą śmiercią uczynek który drudzy nazwą heroicznym, i tak dalej... Prawda, że każdy powinien myśleć o sobie, bo to rzecz naturalna, ale czyż dla tego mamy zapominać o drugich, cóżby w takim razie stało się z miłością bliźniego? Nietylko obleczenie się w egoizm jest niewłaściwem postępowaniem, ale staje się także szkodliwem w zastosowaniu dla obu stron; skąpiec wzbudza pogardę, od oszusta będą stronić, za to ci, co umieją interes ogółu postawić po nad swój własny, lub przynajmniej udają że tak robią — gdyż pozorna wspaniałomyślność i gotowość do ofiary zarówno wzbudza zaufanie — ci panują nad masami. Jest to może okrucieństwem zmuszać ludzi by szczęście doczesne własnowolnie niweczyli, ale z tem wszystkiem interes ogółu i potrzeba kraju, zdobyły sobie prawo rozporządzania jednostkami dla wyższego pożytku. Jeżeli postawimy na szali interes prywatny z potrzebą ogółu, któreż z nich przeważy? nietrudno odgadnąć. Możemy zatem litować się nad tymi, których los został zwichnięty przez względy wyższe, ale nie powinniśmy popychać ich do daremnego oporu. Poddanie się wyrokom Opatrzności jest drogą do szczęścia, egoizm idzie w parze z pychą, a duch buntu strącił z nieba upadłych aniołów.

Starzec na chwilę przerwał; nie chcąc spierać się w kwestjach tak drażliwych, skinąłem głową na znak, że podzielam zdania wypowiedziane. Prowincjał ciągnął dalej z coraz większym zapałem.

— Ja również jak i ty Booghuy lituję się nad naszymi kochankami i uwielbiam ich moc woli, ale, wierz mi, oni nie są tak nieszczęśliwi jak to ty sobie wystawiasz. Dopełnienie obowiązku cokolwiek by ono kosztowało, nosi w samym czynie swoją nagrodę i sprawia zadowolenie równające się wielkości ofiary. Zresztą jak widzę zapoznajesz pan pobudki których usłuchali ci młodzi ludzie. Czy sądzisz pan, że gdyby budaizm mniej był poważanym, nasi kochankowie chcieli by wtedy ukryć blizny serca sponiewieraną odzieżą? Oni skazali się dobrowolnie na życie pustelnicze, ale dla tego, że widzieli cząstkę czci jaką jesteśmy otoczeni, na nich spływającą, że spokój duszy ukazywał im się w dali, wreszcie, że znaleźli pewne wynagrodzenie za miłość którą poświęcili. Wiesz pan o tem dobrze, że wojny, pochody ludów, fanatyzm i wewnętrzne rozterki zburzyły ostatki świetności dawnych Indyj. Niegdyś byliśmy waszymi przodownikami, dziś wyście nas prześcigli. Czerpaliście oświatę od ludów Wschodu, przyjdzie czas w którym my ją będziem odbierali z ksiąg świętych Zachodu. W stanie w jakim się teraz znajdujemy, klimat gorący i powietrze przepełnione palącemi wyziewami, pobudzają nas ustawicznie do uciech zmysłowych. Z naszą wrażliwością, nie wiem do jakiej doszlibyśmy rozwięzłości, gdyby życie klasztorne nie uchodziło u nas za szczyt doskonałości, gdybyśmy umartwieniem ciała, rozmyślaniem, ofiarą samego siebie, nie mieli nadziei dostąpienia Nibanu, tego spokoju wiecznego, który budaiści, muzułmanie, chrześcjanie, wystawiają sobie każdy podług swoich pojęć, ale do którego zarówno dążymy przez dopełnianie naszych obowiązków. Mówmy otwarcie: sądzisz pan że nasze zakony tak jeszcze wzorowe pod względem dyscypliny nie rozprzęgły by się wkrótce, gdyby od czasu do czasu nie zajaśniała jedna z tych charakterystycznych postaci, oświetlająca swym blaskiem nasze zakłady? Wszystkie świątynie, nawet Bogów nieznanych noszą napis: że łzy i krew zmywają grzechy świata. Wkradające się nadużycia trzeba bądź co bądź zniweczyć i odżywić stygnące wyznanie przy ogniu rozgorzałej wiary. Gdybym był nie miał do przeciwstawienia chwiejącej się regule w klasztorze zakonnic takiej kobiety, której wysokie urodzenie, surowa cnota i energja były zjawiskiem niezwykłem, zakon stojący dziś u szczytu chwały byłby upadł razem z innemi. W tej stanowczej chwili ona była narzędziem łaski Bożej. A teraz zwierzam ci się otwarcie, bo wiem że masz wiarę w sercu, a Bóg jest jeden dla wszystkich chociaż go odmiennie czcimy, powiem ci szczerze że w całej djecezji widzę tylko jednego człowieka zdolnego mnie zastąpić gdy stanę u końca mej pielgrzymki, a tym jest Cambua-Tsaya, ten nad którego losem tak się litujesz.

— Schylam czoło Phra przed głębokiemi poglądami i trafnością twoich zapatrywań — rzekłem ze skruchą.

— Spodziewam się tego — odrzekł radośnie staruszek.

— Umiem i ja cenić doniosłość obowiązku, ponieważ wiem ile on nas często kosztuje.

— Niestety mój synu, każdy musi dźwigać swoje brzemię, jeżeli chcemy dostąpić wiecznej chwały... I ty także biedny wygnańcze, masz ciężkie przeciwności do zwalczenia, niech cię Bóg wspiera i dozwoli przebyć szczęśliwie próby życia.

Na tem stanęła nasza rozmowa. Prowincjał żegnając mnie przeprosił, że przez te dwa dni nie będzie mógł z powodu zjazdu przełożonych jadać ze mną, i powtórzył zapewnienie, że wolno mi być świadkiem ceremonji religijnej w towarzystwie braciszka, który pierwszego dnia chodził ze mną po okolicy. Cambua-Tsaya obmyślił już dla mnie miejsce, które miałem zajmować podczas ceremonji.

Drugiego dnia rano byłem jeszcze na wpół senny, gdy niezwykły ruch dał się słyszeć w moim pawilonie; zapytawszy Józefa dowiedziałem się, że robią przygotowania na przyjęcie gości przybywającyah z bardzo daleka. Rozkładano rogoże, materace, znoszono proste stołki i ustawiano naczynia z wodą, gdyż podróżni mieli tu spocząć i posilić się przed rozpoczęciem ceremonji.

Niebawem ukazali się goście trzymając w ręku niezbędne *patta i anana*.*) Byli to sami braciszkowie, księża, mędrcy, których stopień godności rozpoznawałem z postawy i zachowania, a nie ze stroju który był bez żadnej odmiany. Sługa klasztorny wprowadzał przybywających do środka zajatu, wskazując każdemu miejsce dlań przeznaczone; wchodzili boso, pozostawiwszy swoje sandały na dole przed wschodami, poczem kładąc wachlarz i miseczkę obok siebie na macie, brali różaniec a odmówiwszy długą modlitwę układali się każdy na swoim materacu zakrywając sobie twarz końcem odzienia. Ubiór ich zwany *tsiaura*, zawsze żółtego koloru na znak żałoby, składał się z trzech części: jedna przymocowana w połowie ciała skórzanym paskiem spadała aż po kostki, druga osłaniała plecy i piersi kończąc się po niżej bioder, a trzecia owijała się nakształt szala. Od czasu do czasu niektórzy chcąc ugasić pragnienie wstawali, a zaczerpnąwszy wody drewnianym kubkiem, odmawiali jakieś pobożne wezwanie, i powróciwszy do swego posłania układali się znów do spoczynku. Prawdopodobnie ani jeden z tych ludzi nie widział w swem życiu Europejczyka, a jednak żaden nie zwracał na mnie zbytniej uwagi. Bawiłem się czas jakiś przypatrując się przychodnim, gdy osobistość zupełnie mi nieznana zbliżyła się do mnie. Był to Tsaya, dyrektor zakonnic człowiek już w starszym wieku, wysoki, gruby, z twarzą inteligentną, wyrażającą otwartość i dobroć, i bez długich ceremonji podał mi rękę zagadując:

---

*) Patta miseczka głęboka do odbierania ofiar; anana wachlarz z liści palmowych przedmioty bez których żaden zakonnik nie wydali się z Koyungu.

— Booghuy, dwie rzeczy sprowadzają mnie do pana.

— Słucham cię Tsayo — odrzekłem skłoniwszy się uprzejmie.

— Najpierw muszę cię przeprosić za naruszenie twojego spokoju przez naszych gości.

— Ależ bynajmniej, to tylko ja mogę wam być na przeszkodzie.

— Wcale nie, widzisz pan postępujemy zupełnie jak gdyby ciebie nie było, dla tego przychodzę cię przeprosić.

— Jeżeli już tak chcesz koniecznie Tsaya, więc przyjmuję usprawiedliwienie.

— Po drugie jesteś naszym dobrodziejem.

— Ja?

— Przywróciłeś zdrowie naszemu Tsaya-dauh, w chwili gdyśmy już powątpiewali o jego życiu.

— Bóg, a nie ja uczynił cud.

— Tak, aleś ty był pośrednikiem jego łaski, przychodzę zatem w imieniu wszystkich członków zakonu złożyć ci Booghuy podziękowanie.

— Krok ten z twojej strony szanowny Tsaya, wzrusza mnie niewymownie, powtórz z łaski swojej waszym godnym księżom, ile jestem rozczulony uznaniem, na które sobie może nie zasłużyłem.

— Nie omieszkam to uczynić. Jeszcze jedno słówko: przez te dwa dni nasz prowincjał będzie miał z przeorami klasztorów bardzo ważne i tajemnicze rozprawy, przez co będzie zmuszony odmówić sobie przyjemności pańskiego towarzystwa przy objedzie. Za to może zechcesz nas Booghuy uszczęśliwić przyjmując udział w naszej skromnej wieczerzy.

— Z całego serca... A Cambua-Tsaya będzie z nami?

— Nie, to prawa ręka prowincjała i w takich ważnych okazjach nie może się ani na chwilę oddalić od jego boku. Rady z jakiemi się odzywa, są zawsze usłuchane, uwagi i orzeczenia wielce cenione, zresztą nic dziwnego, to wielka głowa i kiedyś stanie się światłem i chlubą zakonu, jeżeli..

— Dokończ myśl twoją Tsayo, gdyż zdaje mi się że ją odgaduję.

— Jeżeli tak, to ją pan dopowiedz.

— Stanie się światłem zakonu, jeżeli Bóg nie powoła go zawcześnie do siebie...

— Uratuj go pan!

— Niestety! jego nie fizyczne cierpienie niszczy.

— Jakto? pan byś wiedział...

— Wiem wszystko.

— W takim razie pan go uratujesz, nieprawda? — zawołał rzucając mi się na szyję.

Byłem odurzony tym niespodziewanym wybuchem czułości i zacząłem się wymawiać.

— Słuchaj pan... Ja go kocham jak gdyby to był mój własny syn, którego nie mam, wstąpiłem bowiem bardzo młodo do zakonu. On w dwunastym roku życia został nam oddany na wychowanie, ja byłem jego nauczycielem, i przez trzy lata nie odstępował mnie na krok, zawsze razem ze mną, a chociaż zamożnej rodziny towarzyszył mi ilekroć wychodziłem na miasto po kweście. Przez cały ten czas nie tylko nie potrzebowałem go ani raz ukarać, ale nawet nie miałem powodu zrobienia mu najmniejszej wymówki. Pilnością prześcignął wszystkich swoich towarzyszy, nie długo znał lepiej język świętych ksiąg niż ja sam, bez błędu przepisywał pisma Sutra, i z chęcią byłby rozpoczął nowicjat, gdyby ojciec jego, właściciel wielkich dóbr zajmujący się chowem koni, nie był go zapotrzebował i odebrał, a obznajomiwszy z handlem który prowadził, wysłał kilka razy z końmi do Ragun. W tem mieście młody człowiek wyuczył się po angielsku, zaopatrzył w książki, wydawane przez towarzystwo umiejętności w Madras i oddał z zapałem nauce. Dopiero za ostatnim powrotem z Rangun poznał i pokochał tę, która była przyczyną jego nieszczęścia...

Głos Tsaya drżał gdy wymawiał ostatnie słowa i duże łzy spłynęły mu po policzkach. Obejrzał się trwożliwie w około, co widząc wziąłem go za rękę i zaprowadziłem do siebie zapowiedziawszy Longlemu by nikogo nie wpuszczał; Tsaya zabrał głos powtórnie z większą już pewnością.

— I cóż więcej powiem... ujrzałem napowrót ukochanego syna, przycisnąłem złamanego cierpieniem do serca, dzieliłem jego boleść odgadując rozpacz, którą przez wielkość duszy i poddanie się woli nieba krył przedemną. Jak pan wiesz jestem przewodnikiem zakonnic, otóż kochanka jego taką samą okazała wzniosłość duszy, a nawet, kto wie czy jej egzaltacja nie przewyższała jego ofiary. Jest to jedna z tych kobiet co stają się chlubą zakonu, ale walka jest po nad ich siły, prawa natury nie dadzą się w ten sposób pogwałcić. Żeby jedno i drugie było się poświęciło życiu klasztornemu, zanim wybuchła iskra tlejąca w ich sercach, oboje byliby się stali gwiazdami budaizmu. Niestety ogień raz rozniecony nie wygasł w tych duszach, umartwienie, prace jakiemi się obarczają niezdolne są stłumić żaru, i ten pomału niszczy w nich ducha i ciało... Nie dojrzałeś pan będąc w klasztorze zakonnic twarzy przełożonej?

— Zaledwie mogłem w przelocie uchwycić jej rysy.

— Ona zawsze jest piękną, z tem wszystkiem dogorywa...

— Ah! co mówisz ojcze?...

— Te same objawy niszczące zabijają i jego.

— Przeczułem to.

— Trzeba koniecznie wybawić tych dwoje ludzi, jeżeli czas jeszcze — zawołał Tsaya.

— Wytłumacz się jaśniej z łaski swojej.

— Zostałeś pan zarekomendowany naszemu prowincjałowi, przez jednego radcę stanu i przeora klasztoru w Mandelay, ludzi dobrze widzianych u dworu, którzy mają przystęp do naszego Yasa Mednoon-Meng. Nie sądzę by oni mogli być nieprzyjaźnie usposobieni dla naszych kochanków; zresztą Ouonduek potrzebuje pomocnika w zawiadowaniu remontami, który by się trochę lepiej znał na koniach niż on sam, a Tsaya nie gniewałby się za to jeżeli pewnego dnia zostanie zamianowany patrjarchą djecezji Theybo. Jak pan wrócisz do Mandelay, Ouonduek i Tsaya nieomieszkają rozpytywać cię o wrażenia z podróży a wtenczas potrąciwszy od niechcenia przedmiot właściwy, mógłbyś zyskać dla nas popleczników. Cesarz nasz jest to książę pobożny, sprawiedliwy, i w całej tej sprawie szedł li za tradycyjnym zwyczajem władzy królewskiej. Czas musiał złagodzić jego urazę; wprawdzie odważono się znieważyć jego rozkazy, ale ciężka kara zatarła także wielkość winy. Jeżeli teraz Tsaya i radca popierając własny interes, obudzą w nim litość, nie wątpię, że cesarz odwoła swoje postanowienie i pozwoli odzyskać wolność naszym dwom nieszczęśliwym kochankom, co więcej, będzie się starał wynagrodzić im ich cierpienia. Ach Booghuy! jakieś przeczucie tajemne mówi mi że los tych dwóch ofiar spoczywa w twoim ręku, działaj z ostrożnością, nie zdając się brać udziału w sprawie, a Opatrzność pobłogosławi twoim zamiarom. Że później przypiszą twemu wpływowi wynik tej sprawy, cóż cię to może obchodzić? Gdy będziesz miał przeświadczenie żeś zrobił dobry uczynek, on ci stanie za wynagrodzenie. Booghuy! błagam cię, ratuj mego wychowanka, wybaw z objęć śmierci moją pokutnicę, a będę imię twoje błogosławił do ostatka dni moich. — Mówiąc to wyciągnął ku mnie błagalnie ręce; nie mogłem się oprzeć jego prośbom i zawołałem:

— Nie będziesz Tsayo daremnie wzywał mej litości, jestem gotów popierać twoje życzenia.

— Dzięki ci Booghuy — rzekł ściskając mię w swych objęciach.

— A teraz — zagadnął obcierając sobie oczy łez pełne — ani słowa więcej w tym przedmiocie. Ale prawda jeszcze jedno — zachowaj pan przed Tsayą-dauh tajemnicę jak gdyby nigdy nic między nami nie było mówione. Nasz godny patrjarcha kocha Cambua-Tsayę zarówno może ze mną, ale on ma inne widoki dla niego, chce pozostawić go na swojem miejscu; nim kierują wyższe względy — dobro zakonu. Gdyby najmniejsze miał podejrzenie, mógłby pokrzyżować nasze plany!

Co za zamęt myśli, jakie nadzieje obudziły we mnie słowa godnego zakonnika! Byłem więc przeznaczony do odegrania roli w tym dramacie, miałem stać się wybawicielem biednych ofiar! (C. d. n.)

Messjanizm i Towiańszczyzna.

w ogólnym zarysie.

Napisał

CZESŁAW PIENIĄŻEK.

(*Ciąg dalszy.*)

Nie mały też wpływ wywierała na umysły filozofja niemiecka. Hegel i Schelling, jakby dwa wprost przeciwne prądy magnetyczne, rozdzierali ku sobie umysły. Jeżeli umysły nie ulegały zupełnie wrażeniom z ich systematów płynącym, to przynajmniej otaczały się niemi. Filozofja heglańska czystego rozumu, twierdząca, że „co rozumne to rzeczywiste, co rzeczywiste to rozumne,“ dotkliwie obrażać musiała uczucia polskie, legalizując nie: jako istniejący, nieprawidłowy stan stosunków politycznych Polski. Rozum, z wykluczeniem uczucia, postawiony za pierwiastek prawdy filozoficznej, w sprzeczności stanął z romantyką, a to wszystko razem wzięte zdziałało, że tak rozumianej prawdzie i tak pojmowanemu rozumowi, rzucił messjanizm rękawicę i uważał za obowiązek swego zadania: zaprzeczać rozumowi, uważać go za „władzę szatańską.“ Za jedyną zaś „twórczą siłę duchową w człowieku — mówi Dr. Cybulski — poczytuje rodzaj bezpośredniego zapatrywania, mającego swe źródło w uczuciu!“

Schelling godzący wiarę z filozofją, nie mało też wpłynął, zwłaszcza na Krasińskiego, a messjanizm odszukiwał w nim wiele materjału dla siebie, który na swój sposób przetwarzał.

Do tego wszystkiego, wziąć jeszcze potrzeba

na uwagę dwa niesłychanie ważne czynniki, jakie wpływały na ducha emigracji. Z jednej strony owa tęsknota za krajem, tak właściwa naturze polskiej, z drugiej strony, stosunki emigrantów prywatne. Bądź co bądź, byli to ludzie wykolejeni z właściwych dróg życia, oderwani od pnia narodowego, więc rzuceni teraz na wichry polityczno-społeczne — jakeśmy widzieli — a do tego gnieceni domową niedolą, biedą, a często i nędzą, popadli w stan jakiegoś, że tak powiemy: fermentu umysłowego. „U nas tu w emigracji bieda coraz większa. Żołd jednym odbierają, drugim zmniejszają, pełno nędzy i pisku! i jakiej nędzy!“ — pisze Mickiewicz w grudniu 1837 do Odyńca. *)

To też gotowały się w mózgach i sercach najdziwniejsze myśli, najdziwniejsze uczucia — wreszcie refleksja ustąpiła fantazji, wyobraźnia zajęła panowanie nad rozumem. O harmonji psychicznej nie było już mowy. Rozum, uczucie, wyobraźnia, straciły między sobą należną im miarę równowagi. Opierano się stale na religji, ona miała być dźwignią serc i umysłów, ale tylko „religja w harmonji uczucia z rozumem i wyobraźnią, jest prawdziwą czcią i miłością Boga. Religja bez rozumu i wyobraźni, jest fanatyzmem, pod przewagą rozumu neguje się sama i staje się libertyństwem, pod przewagą wyobraźni wiedzie do bałwochwalstwa i do mistycyzmu. Nakoniec mistyczność na samej wyobraźni oparta, jest fałszywem proroctwem i fałszywym messjanizmem.“ **) Religja zaś emigracji, stawała się coraz więcej religją wyobraźni i zawiodła emigrację przez mistycyzm do towiańszczyzny.

Taki grunt mając dla siebie, mógł Towiański wystąpić w charakterze messjasza i znaleść posłuch u nieszczęśliwych.

Nie można w ramy powyższego obrazu, ujmować całej emigracji — nie czyniąc wyjątków — ale zdaje się nie ulegać wątpliwości, iż rzecz powyżej przedstawiona, do jej większości odnosić się może, a przedewszystkiem odnosi się do najwybitniejszej intelektualnie osobistości śród tułactwa — do Mickiewicza.

Poetom naszym owe stosunki rozbijały lutnie — wytrąciły ją z rąk Adama i wielu innych. Krasiński i Słowacki ocalili swoje natchnienia, bo pierwszy stosunkami rodzinnemi oddzielił się od ogółu i zapatrzony w niebo, wzniósł się niejako po nad biedy ziemskie, a drugi nie żył życiem ówczesnej chwili, ale stworzył sobie świat własny, odrębny, idealny — i uniósł go na długo z bruku paryskiego, pod łaskawsze dla poezji nieba.

III.

(*Stosunki Mickiewicza domowe. — Objęcie katedry w Collège de France. — Znaczenie i wrażenia prelekcji. — Mistycyzm daje siłę profesorowi.*)

Mickiewicz wsiąkł cały w to życie emigracji i nie ulega wątpliwości, że nie przestawszy być genjalnym człowiekiem, przestał być śród tego życia genjalnym poetą, chociaż poetyczność nie odstąpiła go wcale. Rozumiemy to w ten sposób, że normalna twórczość poetycka, owa siła uzewnętrzniania nastroju poetyckiego, nadawania mu kształtów widomych, przepadła, a pozostał nastrój poetycki, i we wspaniałych okruchach łamał mu się w duszy, drgał barwistym promieniem, rozgrywał się w niewyraźne tony, co się i z życia jego i z prelekcji pokazuje. Zwłaszcza gdy ożeniwszy się, otoczył się rodziną, a ze szczęściem rodzinnego ogniska przyszły i troski ojca i męża, gdy walczyć było potrzeba o kęs chleba codziennego genjuszowi, co na wieki całe ducha swego narodu nakarmiał, wtenczas ta siła poetycka jego chowała się w najtajniejsze zakątki ducha, aby jej dla świata nie uronił, gdy mu samemu tak bardzo była potrzebną.

Tak jak Słowacki powiedział, że „ambicja serce z pod żeber wydarła,“ możnaby powiedzieć, że nędza mózg z głowy wydziera. Ludzie zaś z natury swej, raczej do fantazji niż refleksji skłonni, popadają w marzycielstwo, często chorobliwe, którebyśmy — może nieco trywialnie — pijaństwem ducha nazwali. Następuje wówczas zupełne zniechęcenie do istniejących, realnych porządków życia, człowiek rad usuwa się od nich w swój odrębny świat marzeń i nabiera w siebie coś z anachorety, coś z mizantropa; mistycyzm staje się dlań potrzebą, a rodzi się w nim z owych rezultatów psychicznego stanu.

„Troski w sobie zamykam i nikt nie wie, jak mi czasem ciężko żyć na świecie“ — wspomina Mickiewicz jeszcze przed wyjazdem do Lozanny z Paryża, w jednym ze swoich listów, a w lat kilka potem, chociaż już był profesorem w Paryżu, pisze między innemi do żony w roku 1843.

„Posełam tobie franków siedemdziesiąt, więcej nie mam; to coś zostawiła, nie wystarczyło do końca miesiąca. Zastawiłem kopertę od zegarka. Więcej nic już do zastawienia nie mamy. Tego miesiąca dano mi już tylko pół pensji. Po opłacie chleba, mleka, piwa etc. zostało mi na tydzień życia; po którym tygodniu zacznę troszczyć się i starać się, lubo nie wiem wcale, gdzie się udać“... *)

On, genjusz tak potężny, jak rzemieślnik zaprzęga się do pracy bez natchnień, do pracy nie dla swego narodu.

„Trapiły mię kłopoty finansowe, ale Opatrzność dotąd mię nie opuszcza i jako tako lata przechodzą. Piszę teraz dzieło po francusku, jeżeli się uda i podoba publiczności (już napisane), może interesa nasze poprawić: zmów kiedy pacierz na tę intencję.“

Tak pisze w grudniu 1837 do Odyńca, **) i „wszystko to robię po prostu dla chleba“... dodaje w innym liście do tegoż, w tym samym przedmiocie pisanym.

Trawiący smutek przygniatał często Mickiewicza; myśl o znikomości rzeczy tego świata, ***) codziennie mu się nasuwająca, unosiła go rozpiętemi żaglami do mistycyzmu, do którego z natury swej tak bardzo był skłonnym. Nie można też zapomnieć wpływów, jakie na umysł poety wywarli: Emerson i Kerning, zwany przez Trentowskiego „wiastonoszem duchów i nadzwyczajności.“ Jak Mickiewicz przejmował się ich teorjami, okazało się w prelekcjach.

Śród takiego stanu rzeczy, jakiśmy powyżej skreślili, tak usposobiony poeta, obejmuje katedrę literatur sławiańskich w *Collège de France*, za staraniem hr. Montalemberta i ks. Adama Czartoryskiego utworzoną. Przez ministra Cousin do jej objęcia wezwany, we wtorek 22. grudnia 1840 r. z pierwszą wystąpił prelekcją. Odtąd stanowisko Mickiewicza stało się europejskiem; z natężoną uwagą wyczekiwano słów profesora, które miały Francji i Europie przedstawiać odkrycia prawdziwe świata słowiańskiego, nie znanego im niemal dotąd, jak tylko zaledwie z geografji; narodom zaś sławiańskim, miały być miarą porównawczą ich prac duchowych. Polacy z dumą spoglądać mogli na swego ziomka, któremu tak ważne dostało się stanowisko, a razem ogromne pokładali w nim nadzieje.

„Przyjąłem — powiada sam Mickiewicz *) — powołanie na profesora w Paryżu, jako obowiązek dla sługi w sprawie Polski, Sławiańszczyzny i Francji. Brakowało mi nieraz materjałów potrzebnych; musiałem począć z samym tylko zasobem pamięci. Co poczułem i zauważałem podczas mego pobytu w różnych krajach słowiańskich; co zachowałem z dawniejszego uczenia się ich dziejów i literatury; co mianowicie weszło we mnie z ducha dziś ożywiającego ich ludy: to było całe moje mienie, tem dzieliłem się z moimi słuchaczami... Stawałem zawsze przed nimi bez ułożonej naprzód rzeczy, pospolicie bez najmniejszej notatki. Częstokroć przedmiot dotknięty, wciągający mnie w sam środek związanych z nim filozoficznych i literackich zadań, przywodził do złożenia doraźnie, w improwizacji, razem owocu i moich nabytków naukowych i najgłębszych mych uczuć.“ (C. d. n.)

*) Korespondencje Adama Mickiewicza. Paryż 1870. T. I. str. 314.

**) Karola Libelta: Samowładztwo rozumu i objawy filozofji słowiańskiej. Poznań 1874. str. 200.

*) Korespondencje Adama Mickiewicza. Paryż 1870. T. I. str. 199.

**) Korespondencje A. Mickiewicza. Paryż 1870. T. I. str. 313.

***) Wspomnienie o Adamie Mickiewiczu, przez Marję Gorecką (córkę poety). Warszawa 1875.

*) Literatura słowiańska, tłom. Wrotnowskiego. Poznań 1865. T. I. wstępu str. VI.

Tajemnicza Wyspa.

przez

JULJUSZA VERNE

przełożył z francuskiego J. Pł...

CZĘŚĆ TRZECIA.

Tajemnica.

Rozdział XI.

(*Ciąg dalszy.*)

(*Niepojęta tajemnica. — Powrót Harberta do zdrowia. — Części wyspy do zbadania. — Przygotowania do wyprawy. — Pierwszy dzień. — Noc. — Drugi dzień. — Kaurysy. — Para kazuarów. — Ślady w lesie. — Przybycie do przylądka Wężowego.*)

Gedeon Spilett pochwycił za pudełko i otworzył. Zawierało ono około 200 gramów białego proszku, którego kilka cząsteczek podniósł do ust. Nadzwyczajna gorycz tej substancji nie pozostawiała wątpliwości. Był to istotnie drogocenny siarczan chininy.

Należało niezwłocznie zadać ten proszek Harbertowi. Jakim zaś sposobem znalazł się tak pod ręką, było to kwestją do rozstrzygnięcia na później.

— Kawy! — zawołał Gedeon Spilett.

Za kilka chwil Nab przyniósł filiżankę gorącego wywaru. Gedeon Spilett wrzucił weń około 18 gramów chininy i miksturę tę zdołano wlać w usta Harbertowi.

Czas był jeszcze, bo trzeci paroksyzm trawiącej febry dotychczas się nie objawił.

I niech nam wolno będzie dodać, że paroksyzm ten nie miał już powrócić.

Zresztą i to powiedzieć należy, że nadzieja wstąpiła we wszystkich serca na nowo. Tajemniczy wpływ objawił się znowu dla nich i to właśnie w chwili stanowczej, kiedy już o nim zrozpaczyli.

Po kilku godzinach Harbert odpoczywał już o wiele spokojniej. Wówczas osadnicy mogli przystąpić do rozmowy o tym wypadku. Pomoc nieznajomego była na ten raz widoczniejszą niż kiedykolwiek. Ale jakim sposobem zdołał się dostać nocą aż do Pałacu Granitowego? Tego nie podobna było żadną miarą wyjaśnić; i zaiste drogi działania genjusza wyspy były niemniej dziwne jak on sam.

Przez cały ten dzień, mniej więcej co trzy godziny zadawano siarczan chininy Harbertowi. Od następnego dnia już młodzieniec zaczął uczuwać pewne polepszenie. Nie było to wprawdzie zupełne wyleczenie; febry bowiem powrotne podlegają częstym i niebezpiecznym recydywom, ale choremu starań nie brakło. A potem specyfik był tuż pod ręką i niedaleko bezwątpienia ten, który go przyniósł! Słowem niezmierna nadzieja napełniła serca wszystkich.

Nie była ona zwodnicza. W dziesięć dni potem, 20go grudnia, Harbert znajdował się już na drodze do zupełnego powrotu do zdrowia. Czuł jeszcze wielkie osłabienie, ale przy surowej djecie, jaką nań nałożono, żaden nowy paroksyzm się nie pojawił.

Zresztą posłuszny młodzieniec poddawał się tak chętnie wszystkim przepisom! Tak pragnął się wyleczyć!

Pencroff podobny był do człowieka wydobytego z samego dna przepaści. Napadały nań przystępy radości, podobne prawie do szału. Skoro chwila trzeciego paroksyzmu minęła, ścisnął korespondenta w swych objęciach tak silnie, że mało go nie udusił. Od tej pory nazywał go nie inaczej tylko doktorem Spilettem.

Pozostawało jeszcze odkryć prawdziwego doktora.

— Odkryjemy go! — powtarzał marynarz.

I zaiste ów człowiek, ktokolwiek on był, mógł się spodziewać potężnego uścisku ze strony zacnego Pencroffa!

Skończył się listopad, a wraz z nim i ów rok 1867, w ciągu którego osadnicy wyspy Lincolna tylu srogich prób doświadczyli. Rok 1868 zaczął się prześliczną pogodą, przepysznem ciepłem, temperaturą tropikową, na szczęście odświeżaną wiatrem od morza.

Harbert odradzał się i z łóżka swego umieszczonego przy jednem z okien Granitowego Pałacu, pił to powietrze krzepiące, pełne wyziewów solnych, które mu przynosiły zdrowie. Zaczynał już jeść, a sam Bóg wie tylko, jakie potrawki leciuchne i smakowite przyrządzał mu Nab.

— A tożto dla samych tych przysmaków warto było być umierającym — mawiał nie raz Pencroff.

Przez cały ten czas korsarze nie pokazali się ani razu w okolicach Granitowego Pałacu. Od Ayrtona nie było wieści. To też inżynier tylko i Harbert zachowywali jeszcze niejaką nadzieję odnalezienia go, dla reszty zaś jego towarzyszy nie ulegało już wątpliwości, że nieszczęśliwiec ten zginął. Wszystkie te zagadki nie powinne były jednakże trwać dłużej i dla tego postanowiono, jak tylko Harbert przyjdzie całkiem do siebie, doprowadzić ostatecznie do skutku ową wycieczkę, której rezultat mógł mieć tak wielką dla nich doniosłość. Na to jednakże należało poczekać co najmniej z miesiąc jeszcze. Całe bowiem siły osady były niezbędne dla zgnębienia korsarzy.

Zresztą Harbert miał się codzień lepiej. Zapalenie wątroby znikło, a rany można było uważać za zabliźnione w zupełności.

W ciągu stycznia ważnych prac dokonano na Wielkiej Terasie; a mianowicie uratowano co się jeszcze dało ze stratowanych zbiorów jarzyn i zboża. Zebrano nasiona i rośliny, aby mieć z nich zasiew na najbliższą porę. Z odbudowaniem zaś kurników, młyna i stajen Cyrus Smith wolał zaczekać.

Podczas bowiem, gdy on i jego towarzysze zajęci będą pogonią za korsarzami, oni mogliby nawidzić znowu Terasę. Nie należało więc im poddawać materjału do zaprawiania się w zawodzie rabusiów i podpalaczy. Po oczyszczeniu wyspy ze złoczyńców, będzie pora pomyśleć o odbudowaniu wszystkiego.

Przychodzący do zdrowia młodzieniec począł wstawać z łóżka w pierwszej połowie stycznia, z początku na godzinę, potem na dwie i trzy. Siły powracały mu prawie widomie, tak miał zdrową konstytucję. Skończyło mu się wtedy lat 18, wzrostu był słusznego, przyobiecującego w nim mężczyznę wspaniałej i okazałej postawy. Od tej chwili powrót Harberta do zdrowia, przy zachowaniu jeszcze pewnych starań, w których na włos nie uchybił doktor Spilett, odbywał się już w sposób regularny.

Przy końcu miesiąca Harbert przebiegał już Wielką Terasę i wybrzeża. Kilka kąpieli morskich wziętych w towarzystwie Pencroffa i Naba, nadzwyczaj mu posłużyły, Cyrus Smith osądził tedy, że może już oznaczyć dzień odjazdu, i oznaczył go na 15go lutego. Noce bardzo jasne w tej porze roku będą sprzyjać zamierzonym poszukiwaniom na całej wyspie.

Wzięto się tedy do przygotowań niezbędnych przy takiej wyprawie, a miały one być nie małe, ponieważ osadnicy przysięgli sobie nie powrócić do Pałacu Granitowego aż po osiągnięciu swego podwójnego celu, to jest: z jednej strony po zniszczeniu korsarzy i odszukaniu Ayrtona, jeżeli jeszcze żył; z drugiej zaś po odkryciu tego, który wpływał tak stanowczo na losy osady.

Z wyspy Lincolna osadnicy znali doskonale całą jej część wschodnią od przylądka Szponu aż do przylądków Obu Szczęk, znali obszerne błota Tadornów, okolice jeziora Granta, lasy Jakamarowe objęte drogą do zagrody i Dziękczynną, bieg Dziękczynnej i potoku Czerwonego i wreszcie boki góry Franklina, o które opierała się zagroda.

Zbadali zaś, ale nie w zupełności jeszcze, obszerne wybrzeże zatoki Washingtona od przylądka Szponu aż do przylądka Wężowego, pobrzeże lesiste i błotne od strony zachodniej i owe niezmierne ławice piasku, kończące się u otwartej paszczy zatoki Rekina. Ale nie rozpatrzyli dotąd bynajmniej obszernych części lesistych pokrywających półwysep Wężowy, cały prawy brzeg Dziękczynnej, lewy brzeg potoku Katarakty i ów cały labirynt skał i kotlin stanowiących trzy trzecie części podstawy góry Franklina na zachód, północ i wschód. W tych ostatnich miejscach musiało się znajdować mnóstwo głębokich kryjówek. Tym sposobem tedy kilka tysięcy akrów wyspy uszło dotychczas badaniu osadników.

Postanowiono więc, że wyprawa skieruje się przez lasy Zachodniej Ręki tak, aby objęła całą część wyspy po prawym brzegu Dziękczynnej.

Lepiej byłoby może udać się naprzód w stronę zagrody, do której jak słusznie się można było obawiać, korsarze może się schronili na nowo, bądź to dla zrabowania jej, bądź też dla usadowienia się tam stale. Jednakże albo spustoszenie zagrody było już faktem dokonanym obecnie i któremu już za późno było zaradzić, albo też interesem korsarzy było zamknąć się w niej, a w takim razie zawsze pozostawało dosyć czasu do przyparcia ich w tem schronieniu.

Po namyśle tedy utrzymano pierwszy plan i osadnicy postanowili przebić się lasami aż do przylądku Wężowego. Droga ta nie mogła obyć się bez pomocy siekiery, tym sposobem jednak zarysowywał się szlak do przyszłej komunikacji Pałacu Granitowego z krańcem półwyspu, szlak długości 16 do 17 mil.

Wózek był w doskonałym stanie, onagasy po dobrym wypoczynku zdolne były do długiego kursu. Zapasy żywności, przedmioty niezbędne do urządzenia obozowiska, kuchnię przenośną i różne inne sprzęty naładowano na wózek, jak również broń i amunicję, wybrane starannie z tak kompletnego obecnie arsenału Pałacu Granitowego. I o tem jednakże nie należało zapominać, że rozbójnicy włóczyli się może dotąd jeszcze po lasach, i że wśród gęstwiny lasów łatwo o strzał, i to celny. Koniecznością tedy stawało się dla małej gromadki osadników trzymać się razem i nie rozdzielać się pod jakimkolwiekbądź pozorem.

Postanowiono również, że nikt nie pozostanie w Pałacu Granitowym. Top i Jow nawet mieli wziąć udział w wyprawie. Niedostępne mieszkanie mogło się samo obronić.

14go lutego, w wigilję odjazdu, wypadała niedziela. Poświęcono ją w całości spoczynkowi i modłom dziękczynnym, jakie osadnicy winni byli Stwórcy. Harbert zdrów już zupełnie, ale jeszcze nieco osłabiony, miał dla siebie zachowane miejsce na wózku.

Nazajutrz o świcie Cyrus Smith przedsięwziął niezbędne środki ostrożności do zabezpieczenia Pałacu Granitowego od wszelkiej napaści. Drabiny, które służyły niegdyś do wejścia, przyniesiono i zakopano głęboko w piasku, tak, ażeby je można było odnaleźć i użyć za powrotem, winda bowiem wraz z całym należącym do niej przyrządem została odjętą. Pencroff pozostał ostatni w Granitowym Pałacu dla skończenia tej roboty, a potem spuścił się za pomocą liny, której obadwa końce przytrzymywano u dołu w ten sposób, iż gdy ją wreszcie ściągnięto, ustała wszelka komunikacja pomiędzy wejściem do Pałacu a wybrzeżem.

Pogoda była przepyszna.

— Na gorący dzień się zabiera! — zawołał radośnie korespondent.

— Ba! doktorze Spilett — odrzekł Pencroff — droga nasza wypadnie przez lasy, nie spostrzeżemy więc nawet słońca.

— W drogę! — ozwał się inżynier.

Wózek już oczekiwał na nich na wybrzeżu przed „Dymnikami.“ Korespondent żądał od Harberta, aby zajął w nim miejsce przynajmniej przez pierwsze godziny podróży i młodzieniec poddać się musiał przepisowi swego lekarza.

Nab prowadził onaggi. Cyrus Smith, korespondent i marynarz mieli iść przodem. Top wyskakiwał z radośną miną. Harbert ofiarował

miejsce Jowowi w swoim ekwipażu i Jow przyjął je bez ceremonji.

Dano hasło do odjazdu i mała gromadka ruszyła w drogę. Wózek skręcił naprzód przy zagięciu ujścia rzeki, a następnie ujechawszy milę po lewym brzegu Dziękczynnej, przebył most, od którego prowadziła droga prosto do portu Balonowego. Drogę tę jednak poszukiwacze nasi zostawili na lewo, a zapuścili się pod cień owych olbrzymich lasów, nazwanych lasami Zachodniej Ręki.

Na przestrzeni dwóch pierwszych mil, drzewa rozrzucone szeroko, dawały wózkowi łatwe przejście; od czasu do czasu tylko trzeba było przeciąć kilka ljanów lub przerąbywać prawdziwe lasy krzaków, żadna jednak rzeczywista przeszkoda nie powstrzymała dotąd osadników.

Gęste oliścienie drzew utrzymywało świeży cień nad nimi. Deodary, duglasy, kazuarynasy, banksje, drzewa gumowe, smokowniki i inne żywiczne już im znane gatunki rozciągały się przed nimi w nieskończoność. Cały światek ptactwa właściwego wyspie odnajdował się tu w komplecie: tetrasy, jakamary, bażanty i cała szczebiotliwa rodzina kakatoesów i papug. Aguty, kangury, kabyjasy przemykały się pomiędzy zielskiem, a wszystko to przypominało osadnikom pierwsze wycieczki podjęte za przybyciem na wyspę.

— Co uważam, ozwał się Cyrus Smith, to że te zwierzęta, czworonogi i ptactwo, bojaźliwsze są niż niegdyś. Widocznie więc korsarze niedawno przebiegali te lasy i na ślady ich niewątpliwie powinniśmy natrafić.

Jakoż w istocie, w wielu miejscach rozpoznać było można mniej lub więcej świeże ślady przejścia gromady ludzi: tu nacięcia na drzewach, zapewne w celu wytknięcia sobie drogi, owdzie popioły wygasłego ogniska i odciski stóp zachowane w niektórych gliniastych punktach drogi. Nic jednak w ogóle nie wskazywało bliskości stałego obozowiska.

Inżynier zalecił towarzyszom wstrzymać się od polowania. Huk palnej broni mógł był zwrócić uwagę korsarzy włóczących się być może po lesie. Zresztą łowy odciągnęłyby niezawodnie osadników na pewną odległość od wózka, a surowo było zakazane iść luzem.

W drugiej połowie dnia, o 6 mil mniej więcej od Pałacu Granitowego, przejazd stał się dosyć trudnym. Chcąc przebyć niektóre gęstwiny, trzeba było ścinać drzewa i tym sposobem torować sobie drogę. Przed zapuszczeniem się w takie miejsca, Cyrus Smith nie zaniedbywał nigdy puścić naprzód w gęstwinę Topa i Jowa, którzy wywiązywali się sumiennie ze swego mandatu. Skoro pies i orang powracały bez żadnej oznaki niepokoju, znaczyło to, że się nie ma czego obawiać ani ze strony korsarzy ani od dzikich zwierząt — dwu gatunków królestwa zwierzęcego, stojących ze względu na dzikie swoje instynkty na jednym poziomie.

Wieczorem tego pierwszego dnia, osadnicy obozowali mniej więcej o dziewięć mil od Pałacu Granitowego, na brzegu małego przytoku Dziękczynnej, nieznanego im dotychczas, niewątpliwie jednak należącego do systemu wód, któremu grunt ten zawdzięczał swoją zadziwiającą żyzność.

Po obfitej wieczerzy, do której osadnicy zasiedli z mocno zaostrzonym apetytem, przedsięwzięto odpowiednie środki ostrożności na noc. Gdyby inżynier miał tylko do czynienia z dzikiemi zwierzętami, jaguarami lub innemi, byłby kazał po prostu rozpalić ognie około obozowiska i to by wystarczyło do obrony; korsarzy jednak blask płomienia prędzejby przywabił niż powstrzymał, stosowniejszą tedy zdawało się w tym razie otoczyć się nieprzebitą ciemnością.

Zresztą nie zapomniano bynajmniej o urządzeniu straży. Dwóch osadników miało czuwać razem, a co dwie godziny mieli ich zmieniać towarzysze. Ponieważ zaś pomimo wszelkich protestacyj Harberta, usunięto go od obowiązku czuwania, raz więc Pencroff i Gedeon Spilett, drugi raz inżynier i Nab stali z koleji na straży w pobliżu obozowiska.

Noc zresztą trwała zaledwo kilka godzin. Ciemności były raczej wynikiem gęstwiny gałęzi aniżeli zniknięcia słońca. Głębokie milczenie zamącały chyba tylko chrapowate wycia jaguarów i przedrzeźniające się wrzaski małp, które szczególniej irytowały pana Jowa.

Noc minęła bez żadnego przypadku a nazajutrz, 16 lutego, rozpoczął się dalszy pochód przez lasy, z większą powolnością niż trudem.

W tym dniu uszli osadnicy zaledwie 6 mil, co chwila bowiem trzeba było torować sobie drogę toporem. Jak prawdziwi „Setlerzy“ osadnicy oszczędzali wielkich i pięknych drzew, których ścinanie zresztą byłoby ich kosztowało niezmiernie wiele trudu, a poświęcali mniejsze; wynikało ztąd jednak znaczne zboczenie drogi od linji prostej i przedłużenie jej licznemi zakrętami.

W dniu tym Harbert odkrył kilka gatunków roślin, których dotychczas jeszcze nie postrzegli na wyspie jak np. olbrzymie paprocie i drzewa rożkowe których owoce onaggi z chciwością pożerały. Owoce te zawierały w sobie słodki miękisz, wybornego smaku. Tu także znaleźli osadnicy wspaniałe kaurysy, rozrzucone grupami, a których pnie cylindryczne, uwieńczone stożkiem zieleni, wznosiły się do wysokości 200 stóp. Były to owe drzewa królewskie Nowej Zelandji, tak sławne jak Libańskie cedry,

Co do fauny nie przedstawiała ona innych okazów, prócz znajomych już myśliwcom. Spostrzegli jednakże, ale bez możności przybliżenia się, parę owych wielkich ptaków właściwych Australji z rodzaju kazuarów, a które nazywają „emeusami.“ Miały one wysokości do 5 stóp, opierzenie czarne, należały do rodziny szczudłaków. Top poskoczył za niemi całym pędem swoich czterech łap, ale kazuary obdarzone cudowną niemal szybkością biegu, bez trudu zostawiły go daleko za sobą.

Co do śladów pozostawionych przez korsarzy w lesie, znaleziono je jeszcze w kilku miejscach. W bliskości ogniska które zdało się być niedawno zgaszonem, spostrzegli osadnicy ślady wzbudzające ich najżywszą uwagę. Po zmierzeniu jednego za drugim na szerokość i długość, poznali z żawością ślady stóp pięciu ludzi. Pięciu korsarzy obozowało tedy widocznie w tem miejscu ale — i to właśnie było przedmiotem najtroskliwszego badania, nie można było znaleźć szóstego odcisku, któryby musiał być śladem Ayrtona.

— Ayrtona nie było z nimi — ozwał się Harbert.

— Nie — odpowiedział Pencroff — a jeżeli go nie było, musieli więc go już zabić ci nędznicy! Niemająż więc ci hultaje jakiej nory, gdzieby ich można było wytropić i przyprzeć jak tygrysów.

— Nie — odrzekł korespondent — najprawdopodobniej błąkają się bez celu i nie myślą zmienić tego systematu, aż staną się panami wyspy.

— Panami wyspy! — zawołał marynarz. Panami wyspy!... powtórzył zduszonym głosem, jak gdyby go pięść żelazna ścisnęła za gardło. A po chwili odezwał się tonem nieco spokojniejszym:

— Czy wiesz pan, panie Cyrusie, jaką to ja kulę wpuściłem w lufę mojej strzelby?

— Nie Pencroffie!

— Oto tę samą która przeszyła piersi Harberta, i zaręczam panu że nie chybi ona celu!

Najsłuszniejszy odwet jednak nie mógł powrócić życia Ayrtonowi, a ze zbadania śladów pozostawionych na ziemi trzeba było niestety wyprowadzić wniosek pozbawiający wszelkiej nadzieji zobaczenia go kiedykolwiek.

Tego wieczora założono obóz o 14 mil od Pałacu Granitowego, a Cyrus Smith uznał że muszą się znajdować nie dalej jak 5 mil od Przylądka Wężowego. I w istocie nazajutrz dotarli do krańca półwyspu, przeszedłszy las w całej jego długości; żaden jednak znak dotąd nie wskazał im schronienia korsarzy ani też niemniej ukrytej siedziby tajemniczego nieznajomego. (C. d. n.)

Znasz li krainę?

Znasz li krainę, gdzie
Pszenne się ścielą łany?
Na ich złocistem tle,
Stare się ćmią kurhany?
Gdzie brzegiem bystrych wód,
Brzozowe szumią gaje?
Gdzie pszczoła wonny miód
Z wrzosów a lip wydaje?
Znasz li ten luby kraj?
Ach! tam o moja miła,
Tam marzeń moich raj,
Tam matka mię zrodziła!

Znasz li krainę, gdzie
Toń nieba, choć za mgłami,
Dziwną słodyczą tchnie,
I dziwnie oko mami?
Gdzie w niedostatku gór
Pole jak szyba tarczy,
Gęsty, sosnowy bór,
Zwierzyny nam dostarczy?
Znasz li ten luby kraj?
Ach tam! o wspomnień tyle!
Tam marzeń moich raj,
Dziecięctwa mego chwile!

Znasz li krainę, gdzie
Choć zima mrozem ściska
Ludziom nie bardzo źle
W chat ciszy u ogniska?
Gdzie z bicza raźnie smal!
Po gładkiej, śnieżnej błoni,
Rząd sanek pędzi w dal,
Kulig w zapusty dzwoni?
Znasz li ten luby kraj?
Ach tam! łza oko mroczy!
Tam marzeń moich raj,
Młodości czas uroczy!

Znasz li krainę, gdzie
Miast gwarnych, brudnych grodów,
Ciche, spokojne, wsie
Wśród barwnych śpią ogrodów?
Gdzie prosty szczery lud
Proste też ma zwyczaje?
Gdzie byleb, praca, trud,
Bóg dobry wszystko daje?
Znasz li ten luby kraj?
Te błonia sercu miłe?
Tam marzeń moich raj,
Tam chciałbym mieć mogiłę!

J. S. Chamiec.

Trzy węzły

Jeniec jam! Jeniec! Trzema mię węzłami
Przykrępowała do stóp swych dziewczyna,
I im się bardziej szarpię w nich ze łzami,
Tem splot ich głębiej w serce mi się wrzyna!

Jednym z tych węzłów uśmiech jej pieszczony,
Drugim łza rzewna, trzecim uścisk słodki,
Po toś sokole górne zwidził strony,
By skończyć zawód w pazurach u kotki?

Szarpnę się jeszcze! Nuż prysną! O dziwo!
Pryskają! Prysły! Splot ich z serca spada!
No! — czegoż czekasz? Uciekaj co żywo!

Gdzie zaś! Spojrzyjcie! Czy oszalał? Biada!
Stargane kajdan całując ogniwo,
Sam je napowrót na kark sobie wkłada!

Paryż
d. 10 Lutego 1876.

Naśladował
J. S. Chamiec.

Tak być musiało.

Powieść.

Napisał

Józef Rogosz.

(Ciąg dalszy.)

V.

Warnowce leżą o dwie mile od Wolicy, tuż nad rzeką, której rwiące nurty w skalistym pokładzie istny wąwoz wyżłobiły. Do Warnowiec należy sześć folwarków, które złączone jeden klucz tworzą.

W środku wsi rozległej, właśnie gdzie rzeka zgina się w kolano, na wzgórzu niewysokiem wznosi się okazały pałac, wystawiony u schyłku ubiegłego stulecia, z piękną od frontu kolumnadą. Budynek to obszerny i wygodny, a starannie utrzymany ogród kwiatowy od frontu, zamknięty brzegiem rzeki, drugi zaś angielski za pałacem, którego wysokie drzewa zasłaniają zabudowania gospodarskie, robią tę miejscowość bardzo miłą, cichą i już zdaleka ponętną.

Dzisiejszy właściciel Warnowiec, hrabia Eustachy Olpiński mieszka tu od czasów niepamiętnych. Tu się urodził, wychował, wzrósł i posiwiał. Sąsiedztwo całe się zmieniło, jedni wymarli, drudzy przesiedlili się w dalsze strony kraju, inni znowu wywłaszczeni przez Żydów lub Niemców wynieśli się do miasta, aby w nowym zawodzie szukać szczęścia i życia łatwego, — a p. Eustachy został na dawnem stanowisku, jak rycerz średniowieczny, broniący swego zamku na skale przeciw żywiołom nieprzyjaznym.

Sąsiedzi lubiący kontrolować się wzajemnie, niejednokrotnie usiłowali podpatrzeć życie hrabiego, ale w zupełności nie udało się im to do tej chwili. Pałac w Warnowcach pozostał dla nich zagadką, z wyjątkiem samego hrabiego, którego nareszcie o tyle poznali, że go mogli nazwać skończonym oryginałem. Pan Eustachy wiedział, że go tak nazywają, i wcale się za to nie gniewał.

Bo i jakżeż go było nie nazywać oryginałem, kiedy wszystko zdradzało w nim oryginała, począwszy od stroju, a skończywszy na całem jego życiu. Źle uczesany, rzadko ogolony, w domu nosił rodzaj długiego płaszcza, przypominającego poważną togę doktorską, a między ludźmi, co jednak zdarzało mu się bardzo rzadko, pokazywał się w nieśmiertelnym fraku granatowym, o którym nawet p. Krzysztof, nie będący bardzo biegłym w historji, poważnie utrzymywał, że należy do przedhistorycznych zabytków. W domu trzymał służby nie wiele, tyle tylko ile jej niezbędnie potrzebował, konie któremi wyjeżdżał, zaledwie końmi mogły się nazywać, na kontraktach nigdy się nie pokazywał, do stolicy zaglądał zaledwie dwa lub trzy razy do roku, drogi żelaznej nienawidził, sąsiadów unikał, z wyjątkiem jednego majora Zawilskiego, z którym widywał się przynajmniej raz na miesiąc, od rana do wieczora wertował zapylone foliały i na pamięć uczył się Monteskjusza, a co najgłówniejsze, każdego rana kąpał się w zimnej wodzie i nigdy nie jadł mięsa. Czyż zwykły śmiertelnik, mający pięć zdrowych zmysłów, może tak postępować?

To pogardzanie mięsem zrodziło nawet pogłoskę, utrzymującą się w całej okolicy, że hrabia Eustachy tylko dla tego się nie ożenił, że nie mógł znaleźć osoby, któraby się zgodziła na postawiony przezeń warunek, mianowicie jadania tylko jarzyn i owoców. Za lat młodszych, hrabia bawiąc dłuższy czas w domu swej siostry, która wyszła za mąż aż na Litwę, miał był znaleźć jakąś panienkę w dolinie kowieńskiej, która po długim namyśle postanowiła odzwyczaić się od mięsa, w zamian za rękę właściciela Warnowiec. Hrabia przygotował się już do ślubu, ale na godzinę przed ceremonją kościelną zszedł przypadkiem narzeczonę przy pieczonem kurczęciu. Smutne to odkrycie tak go zirytowało, że nie pożegnawszy się z siostrą wyjechał z jej domu i więcej do niej nie zajrzał.

Pan Jakób, który zna wszystkie tajemnice powiatowe, niejednokrotnie opowiadał to zdarzenie z najdrobniejszemi szczegółami, a gdy opowieść kończył, pan Krzysztof dodawał z poważnem namaszczeniem.

— Sknera panie dobrodzieju, słowo honoru, aż wstyd jaki sknera!

— Nieznośny sknera — potwierdzał pan Damazy — a nieuczynny jak żyd. Gdy przed pięciu laty spaliły mi się budynki, pojechałem do niego prosząc o pożyczkę dziesięciu tysięcy. Czy dalibyście wiarę, co mi ten oryginał odpowiedział?

— Cóż takiego?

— Oto najpierw zacytował mi z dziesięć razy swego Monteskjusza, a gdym cierpliwie wysłuchał nagle zapytał: — Czy sąsiad dobrodziej jesteś moim przyjacielem? Rzecz naturalna, że musiałem odpowiedzieć potwierdzająco. Jeżeli tak — rzekł na to hrabia — to muszę sąsiadowi dobrodziejowi wyznać całą prawdę. Nie mówię, że nie mam pieniędzy, bo bym skłamał, a kłamstwem zawsze się brzydziłem, ale choć mam, nie dam, bo i pieniędzy bym nie widział i przyjaciela bym stracił...

Słuchający parsknęli śmiechem, a p. Krzysztof zauważył:

— Chociaż oryginał, ale nie bity w ciemię! Słowo honoru, ma rozum!

— Jak to rozumiesz? — zapytał pan Damazy, udając obrażonego.

— Bo widzisz mój Damaziu, Olpiński chociaż nigdzie nie bywa, musi jednak wiedzieć, że lubisz djabełka, bał się więc byś pieniędzy nie stracił, a w takim razie musiałby pisać do ciebie chyba na Berdyczów.

Pan Damazy wziąwszy tę uwagę za żart sąsiedzki, ani się obraził, ani na nią odpowiedział.

W Warnowcach był służący, stary Grzegorz, który dopiero przed trzema laty przeniósł się do wieczności. Znał hrabiego od dziecka, bo się przy nim chował. On jeden protestował, ile kroć jego panu skąpstwo zarzucano. Gdy raz w mieście słudzy z dworów sąsiednich zeszli się w piwiarni, i gdy lokaj pana Damazego zaczął mówić o skąpstwie hrabiego z Warnowiec, Grzegorz, który długo nie mięszał się do rozmowy, podniósł się nareszcie, a uderzywszy szklanką o stół, gniewnie zawołał:

— Cicho bądź trutniu, kiedy nic nie wiesz Mój pan nie wyrzuca pieniędzy, bo pieniądze to! droga rzecz; mój pan nie pożycza nierobom i graczom, bo każdy grosz byłby zmarnowanym, mój pan nie „szwenda“ się jak ci co gonią ostatkami, ale mój pan wspiera biednych we wsi tak, że u nas nie ma ani jednego żebraka, mój pan ufundował trzy szkoły i każdego roku rozsyła po świecie kilka tysięcy, za które utrzymują się młodzi panowie. Gdybyś nie był taki głupi i mógł zrozumieć, tobym ci powiedział, że każdej jesieni przyjeżdża do nas kilku młodych ludzi, aby mojemu panu podziękować za opiekę. Pan hrabia nigdy nie mówi co robi, i ja też dłuższy czas nie wiedziałem, po co ci panowie przyjeżdżają. Ale gdy raz podsłuchałem ich rozmowę i przekonałem się, że to wychowańcy pana hrabiego, zacząłem ich liczyć, i do pięcu lat naliczyłem sześciu doktorów, trzech adwokatów, dwóch księży, a profesorów i jakichś tam inżynierów, co to budują koleje żelazne, przeszło dwunastu. Wszyscy oni wychowali się i wyuczyli za pieniądze mego pana, a ty trutniu pleciesz, że on skąpy!

Słuchający tych słów wzruszyli ramionami z powątpiewaniem; gdy potem słowa Grzegorza swoim panom powtórzyli, ci także nie dali wiary, bo któż dziś wierzy w dobre uczynki drugiego?

Lokaj, którego Grzegorz zburczał, nie dał za wygrane.

— Być może — rzekł — że to prawda, coście powiedzieli Grzegorzu, ale mimo to musicie przyznać, że wasz pan ma bzika.

— Jeżeli ma trutniu, to ma sobie! Taki bzik nikomu nie szkodzi tylko jemu. Hej! — dodał westchnąwszy — co ja się go naprosił, żeby tym książkom dał pokój, ale gdzie tam! wszystko daremne... Cały dzień siedzi, czyta, pisze, jakby nie był panem i hrabią ale jakimś gryzipiórkiem, który na chleb potrzebuje pracować... Jak wiadro po wierzch wodą napełnisz, to utonie, nie dziw więc że i głowa zrobi się ciężką, gdy w nią człowiek tyle mądrości wpakuje. Hej! hej! szkoda mego pana!

Takie były uwagi starego Grzegorza, i odtąd o swoim panu nigdy już nie mówił.

Przed rokiem otrzymał hrabia jakiś gruby list z poczty. Zamknąwszy się w swoim gabinecie czytał pół dnia, po tem pół dnia odpisywał. Nazajutrz po odesłaniu swego listu był w złym humorze, zrzędził, każdy go niecierpliwił, i wbrew zwyczajowi nie zaglądnął nawet do gabinetu, ale cały dzień spędził w ogrodzie, przechadzając się niespokojnie po cienistych jego alejach.

W tydzień przyszedł list nowy. Tym razem hrabia całą noc nie spał, a gdy świtać zaczęło, przywołał rządcę, rozmawiał z nim przeszło godzinę, a dawszy mu sporo pieniędzy, wysłał go do miasta. W południe kazał zaprządz, i chociaż do miasta zawsze jeździł końmi, tym razem wyjechał koleją, bo widocznie miał interes pilny.

Nie było go czternaście dni, a w tym czasie rządca odświeżył całe pierwsze piętro pałacu, sprowadził nowe meble, kupił kilka par koni cugowych, dwa wierzchowe, powóz, karetę i faetonik, wreszcie przyjął kilka sług nowych a między niemi dwie panny służące, z których jedna była

córką pani Pędrackiej, klucznicy z Wolicy. Wiadomość o zmianach w rezydencji oryginała, rozniosła się prędko po okolicy, i odtąd nie było dnia, by nie zaglądnął tam jaki ekonom, leśniczy lub żydek, dowiadujący się czy pan hrabia nie żeni się przypadkiem. Do rządcy nikt nie miał odwagi udać się z takiem zapytaniem, a że służba sama nie umiała nic stanowczego powiedzieć, więc z początku przypuszczano, potem już wierzono, a do tygodnia wszyscy sąsiedzi ręczyli słowem honoru, że hrabia do reszty zbzikował, bo żeni się na starość.

Tymczasem hrabia ani myślał o takiej niedorzeczności.

Piętnastego dnia przyjechał w towarzystwie pięknej i młodej kobiety, którą poznaliśmy we Wolicy. Była to pani Hermina, po mężu hrabina Trzebińska, córka siostry rodzonej hrabiego Olpińskiego, która, jak wiemy, mieszkała na Litwie.

Hrabina z początku całe dni spędzała w swoim pokoju, rzadko pokazując się nawet dworskim ludziom. Zdarzyło się nawet w owym czasie, że córka pani Pędrackiej, panna Marjanna, zastała ją raz płaczącą nad jakimś listem, co wszystkich niezmiernie zaintrygowało, bo łzy w oczach młodej a bogatej osoby są zjawiskiem rzadkiem i dającem wiele do myślenia. Ta sama panna Marjanna, z natury osoba bardzo ciekawa, znalazłszy się pewnego wieczora przypadkiem pode drzwiami swojej pani, od niechcenia przyłożyła oko do dziurki od klucza. Na kozetce siedziała hrabina z głową w dłoniach ukrytą, a po pokoju chodził hrabia krokiem przyspieszonym. Od czasu do czasu stawał i coś mówił rękami machając, a potem do siostrzenicy obracał się prawem uchem, jakby czekał na odpowiedź, ale zawsze daremnie. Scena ta trwała przeszło pół godziny. Nareszcie hrabina powstała; twarz jej była bledszą jak zwykle, a usta drżały gdy te słowa wymawiała, które pannie Marjannie doskonale utkwiły w pamięci:

— Drogi wuju, postanowienia mego nie cofnę, choćbym zginąć miała! Jeszczem tak nisko nie upadła...

Hrabia wyszedł od siostrzenicy, zamknął się u siebie i trzy dni się nie pokazał. Nawet objad kazał sobie przynosić.

Po owej rozmowie hrabina wyjechała do stolicy, gdzie kilka tygodni spędziła; z powrotem twarz miała spokojniejszą, nawet weselszą. Wkrótce też Warnowce zmieniły się do niepoznania. Zapewne z obawy, by młoda kobieta nie zginęła z nudów, hrabia zawiązał zaniedbane stosunki sąsiedzkie, dzięki czemu cała okolica zaczęła zjeżdżać się do oryginała. Nie było dnia bez gości.

Pani Hermina najczęściej odwidzała Wolicę, bo dla Toni taką miała sympatję, że jak sama twierdziła, nie mogła się od niej oderwać. — Gdybym była chłopcem, często jej to powtarzała, kochałabym się w tobie na śmierć! — Tonia rumieniąc się, serdecznym pocałunkiem odpowiadała na przyjazne słowa i nawzajem coraz silniej przywiązywała się do Herminy. Co jej przedewszystkiem imponowało w tej kobiecie, to energja charakteru, której brakowało Toni złotowłosej. Wprawdzie tej energji nie było widać w czynach, na czyny bowiem potrzeba nieraz długie lata czekać, ale Tonia odgadywała ją w słowach, ruchach, nawet spojrzeniach Herminy.

Świat nie mogący strawić żadnej tajemnicy, gniewał się niesłychanie, że mimo usilnych zabiegów, nie mógł się dowiedzieć, co właściwie skłoniło tak młodą, piękną i bogatą kobietę do zamieszkania w domu tak nieznośnego oryginała. Wprawdzie dalekie, lecz tem samem niepewne wieści niosły, że hrabina przed dwoma laty wyszedłszy za mąż z miłości, wyjechała z mężem za granicę, lecz co się z mężem stało, czy umarł, czy żyje, tego nikt nie umiał powiedzieć. Ona zaś sama nigdy się z tem nie zdradziła. O swoich stosunkach familijnych nie lubiła mówić, a że była osobą z wielkim taktem i z zachowaniem pełnem dystynkcji, więc nikt. nie śmiał wystąpić przed nią z niedyskretnem zapytaniem. Nawet Tonia, mimo przyjaźni łączącej ją z Herminą, nie byłaby się odważyła wdzierać w jej tajemnice.

Po kilku miesiącach świat dał za wygrane, i ogół przestał zajmować się jej przeszłością. W Herminie widziano odtąd tylko osobę bardzo wykształconą, której towarzystwo prawdziwą sprawiało przyjemność. Wyjątek stanowiły chyba matki, mające nieładne i nieposażne córki na wydaniu. Dla tych pałac w Warnowcach był gniazdem tajemniczem, a piękna hrabina osobą wątpliwej konduity. Ale czy mogły mówić inaczej? Wszak młodzież nie zwracając uwagi na wdzięki ich córek, otaczała zawsze panią Herminę, gdziekolwiek ta się pojawiła. Co więcej, jak Mahometanie do Mekki, tak młodzi ciągnęli do Warnowiec, a każdy starał się pozyskać choćby jedno słowo przyjemniejsze, choćby jeden uśmiech dający cokolwiek do myślenia.

Ale daremne usiłowania! Hermina śmiała się, mówiła, czasem nawet żartowała, lecz z całego tłumu otaczających ją wielbicieli, nie obdarzyła żadnego szczególniejszemi względami. W jej oczach wszyscy byli równi.

Hrabia Dziunio, wielbiciel pięknych twarzy i niezwyciężony pogromca serc niewieścich, założył się nawet w poufnem kółku przyjaciół, że do trzech miesięcy rozkocha Herminę, jeżeli jest mężatką, a ożeni się z nią, jeżeli jest wdową i ma tabulę czystą. Z całą zuchwałością światowca rozpoczął kroki zaczepne, ale odparty na całej linji i na głowę pobity, cofnął się w porządku aż do Wolicy, gdzie właśnie pojawiła się panna Antonina Zawilska, która w owym czasie powróciła z pensji. Córka majorostwa, dziedziczka dużego majątku a kończąca dopiero lat siedmnaście, miała być odwetem za porażkę, poniesioną w Warnowcach. (C. d. n.)

Piśmiennictwo zagraniczne.

(Dokończenie).

Paryż dnia 1. Kwietnia 1876.

Wybuch oburzenia w scenie z matką, jest brutalnem pogwałceniem moralności naszego czasu. Naprzód matka niedotrzymuje słowa dla szczęścia, w jej mniemaniu, syna—jest więc dobrej wiary; ale gdyby nawet czynu jej niepodobna było usprawiedliwić, ani troskliwością rodzicielską, ani uprzedzeniami kastowemi, i uznać go za niegodziwy, jak wreszcie nim i jest w stosunku do Anny, nigdy syn niepowinien zapominać się, aż do wyrzucania go w oczy matce z podobną gwałtownością. Ktoby w dzisiejszej sztuce poważył się odtworzyć nowego *Oresta*, lub nawet *Hamleta?* Czytelnik zgodzi się, że w rozwoju naszej cywilizacji, syn ani sędzią, ani karcicielem swoich rodziców być już nie może. Wybuch więc młodego Daniszewa wobec matki nie daje się orzec właściwiej, jak tem dobitnem słowem naszego języka: wyzwierzył się. Podobnież księżniczka Lydja wyzwierza się naprzód do Zacharewa, potem do umizgającego się Francuza, chociaż doprawdy ani tamten mógł proponować kubana nie mając na to pewnego ośmielenia, ani ten zasługiwał na podobną burzę, za oświadczenie miłości w bardzo przyzwoitych granicach. Jest chwila, w której nawet potulna Anna, owa gołąbka, jak ją czuły Osip nazywa, wpada gniewna na hrabinę. Rzekłbyś, że z przejściem ze stajni na scenę głównego bohatera sztuki, opryskliwość i brutalność furmańska opanowała całe towarzystwo i tylko jedynie ten, który mógł był logicznie przedstawiać podobny charakter, zostaje wyjątkiem.

Cóż chciał wypowiedzieć autor przez tę antitezę? Czy że miłości zdolnej do zaparcia i poświęcenia należy szukać w stajni? Pomysł nietrafny i potworny.

Wiktor Hugo przedstawił nam *Ruy-Blas'a* zakochanego w królowej, ale zaczyna rzecz od tego, że stawił ją w krainie cudów i ekscentryczności, zgoła tam gdzie wyniesienie się przez miłostki do najwyższych godności nie tylko jest podobne, lecz urzeczywistnia się prawie w naszych oczach. Pewien grand szukający sposobu zemszczenia się na królowej, podchwyciwszy tajemnicę własnego swego lokaja, rzuca go pomiędzy dworzan i ułatwia mu wstęp do królewskich salonów. Zakochany awanturnik, który przeszedł rozmaite koleje i był już w bandzie rozbójników, pozyskuje serce królowej. Tu zachodzi z nim ta zmiana, która podnosi sztukę do ideału i okupuje zuchwałość zadania. Były lokaj wyniesiony do godności pierwszego ministra, uszlachetnia się miłością królowej na tyle, że staje się wyższym od grandów i mężów stanu, którzy rozszarpują pomiędzy sobą, że tak powiemy po polsku: prebendy i starostwa.

Naprożno chcielibyśmy szukać jakiejkolwiek wyższej myśli w tej komedji p. Dumas i Sp. Liczne akcessorja powołane tu są jedynie na to, ażeby rzucić jakąś frazę z pretensją na dowcip, który już dla tego nie zasługuje na to miano, że potrzebował tylu przygotowań. Tak w domu księcia Walanoff, przedstawiony jest lekarz śpiącym w ciągu całego drugiego aktu na to tylko, ażeby dać zręczność p. Taldé parafrazować przysłowie: „N'éveillez pas le chat qui dort.“ (Nie budź licha kiedy spi.) To samo będzie z nauczycielem muzyki Niemcem Linderem, którego widzimy również w ciągu całego drugiego aktu, aż w końcu dopiero ozwie się jedyną frazą, na którą otrzyma od księżniczki Lydji wielce dowcipną odpowiedź... Ale że to należy do kategorji tendencji politycznej, przejdźmy więc do tego przedmiotu.

Już powiedzieliśmy, że obecnie w Paryżu jest pewna prasa, która od czasu wojny z Niemcami pod pokrywą patrjotyzmu usiłuje przypochlebić się północnemu mocarstwu. Autor komedji „Daniszewy“ korzysta ze zręczności jaką mu daje materjał z rossyjskiego świata i w tym celu wprowadza do sztuki sekretarza ambasady francuskiej p. de Taldé. W salonie ks. Walanoff, młody dyplomata opowiada paniom wypadek swój na polowaniu: wytropiono niedźwiedzia — pan Taldé strzeliwszy doń po dwakroć chybił; cofając się wpadł w fosę i już, już miał zostać rozszarpanym przez rozjuszonego zwierza, gdy w tem woła nań nadbiegający na ratunek hr. Daniszew, żeby się nie podnosił... paf, paf! i oto ugodzony

niedźwiedź pada martwy w objęcia p. Taldé. Na to opowiadanie wchodzi sam ów wybawca w huzarskim mundurze, zbliża się ku p. de Taldé, bierze go za ręce i oświadcza, że jest pewny, iż podobnie postąpiłby Francuz widząc w niebezpieczeństwie Rossjanina, kiedy go zwierz zachodzi z tyłu — „I tak będzie zawsze — dodaje uroczyście waleczny huzar w r. 1851 t. j. w wigilję wojny krymskiej — dopóki będą na świecie Francuzi i Rossjanie... i dzikie zwierzęta.“ Przy tych słowach w teatrze sypią się rzęsiste oklaski. Pytanie, czy sprawiedliwy jest zarzut zachodzenia z tyłu, chociażby nawet niedźwiedziowi, który jak wiadomo nie zachodzi wcale z tyłu myśliwca, lecz przeciwnie, staje na tylne łapy, jakby chciał okazać, że pierś odkrywa i wprost na przeciwnika idzie? „Dziwny wasz kraj — mówi studjujący miejscowe obyczaje Francuz — na dworze dwadzieścia pięć gradusów mrozu, w salonie senegalski upał. Na ulicy spotykasz bojarzyna okrytego sobolowem futrem i tuż ocierasz się o chłopa w kożuchu.“ P. Taldé oczywiście zapomniał, że i w Paryżu pełno podobnych kontrastów. „Niech nam pan da definicję rossyjskiej kobiety“ — proszą panie niewyczerpanego Francuza. „Kiedy Bóg tworzył kobietę — improwizuje p. Taldé — powiedział sobie: zróbmy coś najlepszego i najgorszego — i stworzył Rossjankę.“ „Brawo, brawo!“ — przyklaskuje towarzystwo. „Szczęśliwy kto ją poznał, szczęśliwszy kto uszedł jej sideł... niestety! nie dano mi jest być w liczbie tych ostatnich“ — dodaje grzeczny Francuz zwracając się ku pięknej księżniczce. Dowcipną tę rozmowę, do której wstęp od pierwszego aktu uczyniła nam z natchnienia autora papuga, przerywa przybycie hrabiny Daniszew. Przyjazd ten jak powiedzieliśmy, sprowadził burzę i zmiany. Włodzimierz zgromiwszy matkę i wypowiedziawszy księżniczce, że jej nie kocha i kochać nigdy nie będzie, polecił zabić kuczera i poślubioną mu Annę. Matka również pędzi w ślady syna, a nawet go wyprzedza. Na scenie pozostała księżniczka opuszczona, zła, marząca o zemście, właściwie nie opartej na niczem, gdyż Włodzimierz kochać się w niej ani myślał, i ów fortepianista Linder, który w ciągu całego drugiego aktu brząkał od czasu do czasu, nie wymówiwszy dotąd ani jednego słowa... Co mamy z tym fantem robić? Wszakże niepodobna ograniczyć tu jego tak uporczywej obecności na jednem brząkaniu? Niechże nam nareszcie choć zagra... Jakoż przemawia w końcu milczący Linder: „Czy nie każe pani zagrać Szopena?“ „Nie, nie chcę, bo to Polak“ — odpowiada dysząca zemstą księżniczka i na tej piorunującej odpowiedzi spada zasłona.

Dla sprowadzenia tego jednego pocisku, który w mniemaniu autora powinien mieć wielką doniosłość, błąkał się po scenie biedny muzyk od początku do końca drugiego aktu! Po alluzji do dzikich zwierząt i do wybawców, którym ani śniło się dotąd podobne powołanie, autor uwieńcza swoją tendencję poświęceniem Polaków. Niewiem, czy usiłowania pewnego stronnictwa zaskarbienia sobie pochlebstwami oficjalnej i nieoficjalnej Rossji, otrzymają pożądany skutek, to pewna, że nienawiść, jaką autor chce widzieć w rossyjskiej społeczności ku Polakom, nie istnieje, i w ogólności uczucie to ze strony zwycięzcy ku ujarzmionemu jest nieprawdą. Gdyby było inaczej, przyszłoby zwątpić o ludzkości i musielibyśmy pogardzać sami sobą. Szczęściem tak nie jest i być nie może; dla tege fałszywy ten akord sprawia przykre wrażenie może bardziej jeszcze na Rossjaninie, niż na Polaku. Walka na polu politycznem, przewaga państwowa, zgoła to wszystko co się podciąga pod formułę: *la raison d' Etat*, nic nie ma wspólnego z prawdami złożonemi w głębi naszego ducha, których kazić bez obrazy godności ludzkiej nie wolno. Zamiast starożytnego *vae victis*, sumienie dzisiejsze w Europie woła: „Cześć zwyciężonemu.“ Prawda, że w Afryce zwycięzca pokonanego przeciwnika pożera... kto wie, czy nie spotykamy tu znowu jednej z tych rodowych reminiscencyj, od których wyzwolić się nie łatwo? „Chassez le naturel, il revient au galop“ — mówi francuskie przysłowie.

„To rehabilitacja oblężenia Paryża.“ Wyrzeka sentencjonalnie wychodzący z Odeonu właściciel korzennego sklepu. „Wzięli Niemcy za swoje!“ Dodaje inny. I oto biegną do teatru patrjotyczni mieszczanie, gdzie z jednej strony żołnierz, z drugiej dyplomata mają wyobrażać aljans dwóch narodów. Naiwny widz myśli, *que cela est arrivé*, a tymczasem gdziekolwiek jest większe zbiegowisko, siła attrakcji pociąga resztę tłumów nawet obcych nietylko miastu, ale nawet narodowości francuskiej, zgoła napływowych z rozmaitych części świata. Ta ostatnia populacja, jako perjodyczny *flux* i *reflux*, wynosi w Paryżu do stu tysięcy na dzień — i w tem jest cała tajemnica powodzenia widowiska, skoro raz nabrało ono z jakichkolwiek bądź przyczyn rozgłosu. Tak więc nie jest to wcale ani wyrazem opinji publicznej w ukształconej części Paryża, ani dowodem literackiej wartości utworu.

Kricjas.

Listy z Krakowa.

(Dokończenie).

Kraków 10 kwietnia.

„Tajemnice! podziemia! — krzyczy p. G. o powstańczych operacjach — jasne sumienie tego nie rozumie i tego się nie chwyci.“ Miły Boże! jakie to sumienie p. G. jest „jasnem!“ A jaki rozum! Naród nie mający żadnych środków dla dochodzenia swych praw i strzeżony z całą czujnością nigdy niezasypiającego ucisku, nie powinien chwytać się „tajemnic i podziemi,“ ale jawnie żądania swe wypowiadać i siłą popierać. Czy taką radę daje człowiek przytomny? i znający położenie rzeczy? Gdyby p. G. złapali Botokudy i wsadzili do kojca z zamiarem sprawienia sobie nazajutrz z niego uczty, ciekawym, czyby też jego „jasne sumienie“ „nie chwyciło się tajemnic i podziemia“ dla zachowania swego życia. Szkoda wielka, że dziś „mistrze“ kaznodziejskiej wymowy tak źle są poinformowani o historji pierwszych Chrześcjan. Z niej bowiem dowiedzieliby się jak wiedzą wszyscy gimnaziści, że najznakomitsi nauczyciele nowej wiary z „jasnem sumieniem chwytali się tajemnic i podziemi“, że Chrześcjaństwo ocalało i wychowało się w „tajemnicach i podziemiach“, że gdyby nie owe „tajemnice i podziemie“ nie mielibyśmy dziś przyjemności publicznie słyszeć i podziwiać „jasnych sumień“ Golianów. Bodaj z wdzięczności „mistrze“ ambony krakowskiej powinniby się lepiej zapoznać z historją męczenników, którym swe publiczne istnienie winni.

P. G. tak dalece przestrzega swego celibatu, że nawet nie zawiązał stosunków z żadną nauką. Widzieliśmy jak unikał historji, zobaczmy jak odtrąca najelementarniejszą psychologię i logikę. „Uczucie patrjotyzmu — są jego słowa — jest nie tyle jakimś tkwiącym w naturze naszej zarodkiem, czy nasieniem, ile raczej pewną duchową zdolnością. (Czy duchowa zdolność nie tkwi w naturze naszej jako zarodek?) Nie wie się o nim bez słowa. (Czy o duchowej zdolności nie wie się bez słowa?) Podobnie jak wiara jest ze słuchania (a więc nie urodzona), a słuchanie z przepowiadania (czy proces słuchania powstaje tylko pod wpływem przepowiedni?) tak uczucie bywa nam dane, bywa w nas mocą owej zdolności przyjęte przez pośrednictwo słowa (a więc duchowa zdolność powstaje przez pośrednictwo słowa!) „Mistrzowska“ psychologja i logika!

P. G. dotyka czasem i historji filozofji, ale po to tylko, ażeby okazać zupełny z nią rozbrat. Utrzymuje np. w swej pogrzebowej mowie, jakoby Hegel miał powiedzieć, że „co jest, to jest prawdziwe, a co jest prawdziwe to jest rozumne.“ Otóż Hegel tego nie powiedział, bo na nieszczęście znał i napisał logikę. Powiedział zaś: „*Was vernünftig ist, das ist wirklich, und was wirklich ist, das ist vernünftig**). To znaczy po polsku: „co jest rozumne, to jest rzeczywiste, a co jest rzeczywiste, to jest rozumne.“ Jak zaś wiadomo tym, którzy stosunkami z historją filozofji nie gardzą, doszedł Hegel do wniosku swego następującem rozumowaniem: Ponieważ wszystko co jest, jest rozwojem i wyrazem intelligentnego absolutu, zatem wszystko co jest, jest rozumnem. Jeżeli zamiast absolutu podstawimy Boga, będziemy mieli syllogizm każdej religji, jeżeli zaś podstawimy naturę, otrzymamy syllogizm przyrodniczej wiedzy, w żadnym więc razie nie będzie on tak bezsensownym, jak się p. G. zdawać może. Bezsensownym staje się dopiero wtedy, gdy wiara nasza w „logikę“ Hegla wypłynie ze „słuchania“ p. G., gdyż twierdzić, że „co jest, to jest prawdziwe, a co jest prawdziwe, to jest rozumne“ nazywa się w logice tautologją, bo jeżeli coś jest, już przez to samo musi być prawdziwe. P. G. nietylko przypisuje Heglowi aforyzm, na który każdy galicyjski pastuszek mógłby się zdobyć, ale jeszcze z nieporównaną naiwnością zapytuje: „czy to prawda, że wszystko co jest, jest prawdziwem?“ To znaczy np. jak gdyby się ktoś spytał: „czy to prawda, że skoro p. G. jest, więc jest p. G. prawdziwym?“ O tem chyba nikt wątpić nie będzie, bo chociaż p. G. nie mówi prawd, niemniej jednak jego fałsze są fałszami prawdziwemi.

Gołuchowski według p. G. był bardziej filozofem, niż jego nauczyciel Schelling. Dla czego? p. G. nie powiedział, schowawszy sobie tajemnicę do innego popisu z historji filozofji. Oby ten nowy popis wypadł szczęśliwiej, bo doprawdy szkoda uszu wykształceńszych słuchaczów, „mistrzowskiego“ oratorstwa, gryzionych takiemi bąkami.

A łacina? Czyż i tej p. G. nie uwzględnia? Ucząc idealną matkę rad dla syna, przytacza takie zdanie: „*et cum essem magis bonus, veni ad corpus incoinquinatum*, to znaczy (według filozofji p. G.) „iż trzeba mocno i dużo pracować, aby się na prawego syna takiej ojczyzny, jak ta Polska, wyrobić.“ Byłoby wielkiem nieszczęściem dla p. G. i owej matki, gdyby jej syn uczęszczał bodaj do pierwszej klasy, bo niezawodnie powiedziałby: mamo ks. G. nie zna łaciny, bo to co innego znaczy a nawet w czasach pisania Biblji, Polski nie było, nikt więc o niej wiedzieć nie mógł.

P. G. ucząc przykładowo polskiego patrjotyzmu, wyliczał po kilkakroć Machabeuszów, a nie wynalazł w polskiej historji ani jednego wzoru. Bo też rzeczywiście dla jego patrjotyzmu illustracyj uczciwych tam nie ma. „Ojczyznę nie jak jakieś bóstwo trzeba miłować“ — woła p. G. — otóż takiej miłości polscy patrjoci się nie zrzekali. Do czego zaś p. G. miłość dla ojczyzny chce sprowadzić, pokazują te słowa. Matka winna tak dziecku powiedzieć: „Jako mojemu sercu dogadzasz, kiedy dogadzasz ojcu, tak i ojczyźnie dogodzisz i będziesz jej się podobał, kiedy się będziesz podobał ojcu.“ No, a jeżli tym ojcem będzie taki np. p. G., który matkę Polski ulokował w Petersburgu, czy i wtedy ów syn dogodzi i podoba się ojczyźnie, podobając się i dogadzając ojcu? Charakterystycznem jest, że p. G. wszystkie obowiązki względem ojczyzny stopił w dwie jezuickie role; podobania się i dogadzania.

Mówiąc o p. G. nie używaliśmy należącego mu się nominalnie tytułu: ksiądz. W naszem bowiem przekonaniu p. G. w rzeczywistości księdzem, zwłaszcza polskim, nie jest. Wszelkie posłannictwo ma swoje obowiązki, po za któremi kończą się jego prawa. Prawdziwy polski kapłan winien być z zadania swego nauczycielem wiary i krzewicielem mi-

*) *Grundlinien der Philos. des Rechts* II. Aufl. Berlin 1840 Band VIII. 17.

*

łości. Kościoły, w których lud się na modlitwę gromadzi, gdzie przynosi swoje czyste uczucia i modlitwy, swoją radość i smutek, gdzie przychodzi w niepokalanym zdroju czerpać pokrzepienie na drogę gnębiących go losów, są przybytkami wielkiej misji i odpowiedzialności. P. G. jednej i drugiej wypowiedział zupełnie posłuszeństwo. Dla niego ambona, na której być powinien nauczycielem zasad wolnych od wszelkiej przymieszki bieżącego mułu życia, jest trybuną, z której rzuca paszkwile, polemizuje z gazetami, czerni przeciwne stronnictwa, podszczuwa fanatyzm, załatwia swoje osobiste sprawy i wynagradza sobie pretensje. Żadna zagraniczna gmina lub miejska rada, żaden konsystorz nie pozwoliłby na takie nadużycia religji, kościoła i ambony. Jestto doprawdy dla nas niepojętem, jak zwierzchność duchowna krakowska może tolerować podobne — nie wyjątkowe ale systematyczne — wybryki, które mogłyby nie obrażać ścian klubu, ale obrażają ściany świątyni. Marjacki kościół jest przybytkiem posiadającym swoje historyczne znaczenie — powagi więc jego i wpływu nie powinna dyskredytować żadna jezuicka propaganda, żaden hałas oszalałego z podrażnionej ambicji krzykacza, żadna bójka religijnego awanturnika. Takich bowiem zuchów Chrystus ze świątyni wypędza. P. G. ani raz nie pomyślał o zjednoczeniu rozterek słowami miłości, a natomiast gorliwie pracuje nad rozdarciem narodu. Tego rodzaju indiwidua, bardziej niż wszystkie polityczne podziały, rozdzierają nasz naród na sztuki i pchają je na odmienne drogi. Wszystkie polityczne środki nie zdołają tak poobłamywać pojedynczych gałęzi z narodowego pnia, jak jego religijni szkodnicy. Gdyby jaki szczególny przypadek zlał na chwilę ludność Warszawy z krakowską, te w przeszłości żywioły jednorodne spotkałyby się jak wrogie. Czarna wstęga Narwi odbijająca w jednem łożysku na żółtych falach Wisły, stanie się podobno kiedyś smutnym symbolem dla naszego narodowego życia. Jeśli tak, jeśli dzięki jezuickiemu podgryzaniu mają próchnieć i rozszczepiać się konary Polski, przeklęta bądź roboto Golianów przez każde uczciwe sumienie! Wybacz mi czytelniku, jeśli cię moje gorące słowa parzą. Są uczucia, których nie znam w niskiej temperaturze, i które mi za lada skrzesaniem iskry z piersi wybuchają. Żyć w tym naszym wieku i patrzeć jak z poćwiartowanego narodu najswobodniejsza jego część coraz wstrętniej wrzodzieje, jak ją toczy i zagryza robactwo w własnem jej łonie wylęgłe — to boleśniej, niż widzieć męczennicę rzuconą w cyrku na pastwę dzikim tygrysom. „Po wieku bez nadziei — mówi Alfred de Musset — następuje wiek bez obawy" — i ten właśnie dla nas nadszedł. Trzeba już raz odemknąć usta bojaźliwemu słowu, mówić jawnie i głośno o zbrodniach głucho kotłujących się we wnętrzu narodu. Ta polityczna hygiena, jakiej dotąd ślepo trzymaliśmy się, nie wystarcza i zawodzi, trzeba więc za przykładem ludów silnych i zdrowych zastosować nowe środki dla utrzymania się przy życiu, przedewszystkiem zaś trzeba starannie wypruć z ciała naszego narodu jezuicką żyłę, która po niem strutą krew roznosi. Upadliśmy nie tak dawno, sprawcy tego upadku tkwią nam jeszcze żywo w pamięci; powiedzmy więc sobie to, co wielki syn powiedział do wielkiej ojczyzny: „Bodajby piorun, który nas obalił, mógł nas przynajmniej oświecić!"

Czas uśmiechnął się radośnie z odkrycia, że Kraków rozkupił tysiące egzemplarzy książeczki jubileuszowej, a z obojętnością osła, zstrząsającego spokojnie muchy z swych długich uszu pod ścianami kryształowego pałacu, popatrzył na Darwina. Uśmiechnijmy się więc i my z radością, że intelligencja *Czasu* jest tak jednolitą i nie pokryła się ani jedną skazą tej fatalnej rdzy, na którą mózg Kretyni jest zawsze nieczułym. Jak istnieje w Europie pisana wiedza, nie urodził się człowiek, któryby wielkiemu myślicielowi Anglji wyrównał. Wszystkie bez wyjątku nauki zapisały w swej historji jego wystąpienie jako nową erę. I chociażby w przyszłości nie ocalało żadne z jego twierdzeń, już przez to samo, że całą naszą wiedzę wprowadził na inną kolej, po której ona całe wieki rozwijać się będzie, zasługuje nie tylko na cześć cywilizowanego świata, ale i na gruntowne badanie. *Czas* cieszy się, że Kraków obojętnością zakwestjonował sławę geniuszu. I owszem — nie przeszkadzamy tej radości, na losach wszakże cywilizacji *Czas* ze swoim obozem zaważy w tym wypadku tyle, ileby na losach Polski pod Grünwaldem zaważył protest krzyżackiego ciury, zaprzeczającego Jagielle praw do królewskiej korony. Każdy jest tem, czem być może. Gdy Darwin w swym gabinecie odkrywa nieśmiertelne prawdy, jego kruk na podwórzu delektuje się szczurem. Czytajcie więc sobie jubileuszowe książeczki. Jeden niech sobie tłumaczy, że na to go historja uczyła, iż byli przed nim J. Bruno, Huss, Tecel i Luter, ażeby nie wierzył głupstwu i obłudzie i nie dał się złapać na plewę, którą już gile omijają, za to drugi niech się tą plewą nakarmi, niech sobie z niej zrobi amulet, który go nie ustrzeże od nieszczęść, ale ustrzeże od — rozumu. My sobie tymczasem pozostawimy tę pociechę, że kiedy sprzedaż Boga tak wam dobrze idzie, wkrótce go pewnie dla was samych zabraknie. A tymczasem nie kłopoczcie się, bo na karcie cywilizacji Kraków nie przestanie być — morzem martwem....

POGADANKI.

XVII.

Wiosna nie tylko się budzi, ale nawet obudziła się na pięknę. Podczas gdy w roku ubiegłym jajo święcone jedliśmy na lodzie, a na Zielone święta nie mieliśmy czem domów umaić, w tym roku pociliśmy się przy szynkach i kiełbasach, a w dniu zesłania Ducha św. będziemy mieli najmniej 30 stopni w cieniu. Gospodarze cieszą się, że oziminy ślicznie wyglądają i że wiosenne zasiewy powiodły się tak wcześnie — a wraz z nimi cieszą się mieszczanie, bo jeżeli będzie urodzaj, to jest nadzieja, że w całym kraju poprawią się stosunki. Nie da się zaprzeczyć, że kraj tak przeważnie rolniczy jak nasz, może liczyć tylko na dochody z rolnictwa, więc ilekroć ziemia nam nie dopisze, na całej linji dają się czuć fatalne skutki. Zachodzi atoli pytanie, czy w razie wielkiego urodzaju będziemy mieli także dobre ceny — bo gdyby wywozu nie było, pszenica leżąca w spichrzach nie zaspokoiłaby wszystkich naszych potrzeb. Ponieważ to jednak należy do dalszej przyszłości, więc nad tą sprawą przejdę do porządku dziennego, a stwierdzę tylko ten fakt ważny, że hojne nieba nie dla wszystkich były równo litościwe. Podczas gdy myśmy cieszyli się już wiosną, w Marsylji padał śnieg obfity, a w Czechach także z powodu wielkich śniegów, ruch na kolejach żelaznych był jakiś czas zatamowany. Co więcej, nawet Kraków miał niedawno śnieg, którego nie widzieliśmy we Lwowie. Widocznie nieba same chcą ukarać „klikę podwawelską" za jej łamane sztuki.

Każdy dzień przynosi nam z tamtąd jakieś nowe absurdum. Nie dawno mieliśmy elokubrację p. Walewskiego, a teraz wystąpił znowu w szranki ks. Domagalski, i w broszurze swojej *Irlandja i Polska* tyle potwornych poumieszczał rzeczy, że już nie gniewać, ale śmiać się trzeba. Pofałszowawszy naszą historję i potępiwszy ruch z r. 1863, zacny autor tak się potem odzywa do polskiego duchowieństwa:

„Literalnie atoli w obliczu rządu wina ta cała na kapłanach cięży, tacy zaś, którzy najmocniej w ruch się wplątali są dziś za granicą rządu rossyjskiego. Tych więc błagamy, aby dla miłości wiary i koscioła, dla miłości Ojczyzny tyle przez nich cierpiącej, dla ulżenia losów narodowości naszej tyle przez nich unieszczęśliwionej, dla życzliwości stanowi duchownemu w takie przez nich uwikłanemu pęta, aby dla tych tak świętych obowiązków zechcieli wspomnieć na głos sumienia, i za pośrednictwem swoich biskupów odezwać się ze szlachetną kapłańską pokorą do monarchy (cara), *że żałują swojego mięszania się w anarchiczne ruchy, że szanują i uznają władzę, która jest, którą postanowił Bóg, że nie będą się mięszać nadal w żadne spiski i klubowiska*, że proszą w końcu nie o łaskę dla siebie ale o monarszą względność dla kraju, nadewszystko dla wiary, *dla kościoła, któremu się oni sprzeniewierzyli*, i który jest mistrzem pokoju, szacunku, posłuszeństwa Bożego i miłości."

Do takich więc wniosków, do takich rad doszedł autor, cierpiący widocznie na obłęd. Trudno bowiem przypuścić, aby człowiek mający pięć zdrowych zmysłów i do tego kapłan, mógł wzywać duchowieństwo do wybijania pokłonów przed tym, który katolicyzmowi tak zaciętą wydał wojnę. Jeżeli ks. Domagalski naiwnie utrzymuje, ze ponieważ „każda władza pochodzi od Boga" więc dla tego Polacy powinni uznać cara prawowitym swoim monarchą, a biskupi nasi na „kolanach błagać go o przebaczenie" to czemu tej samej zasady nie zastosowuje np. w obec Rzymu, i nie wzywa mieszkańców Watykanu, by przed królem włoskim padli na kolana? Wystąpienie autora tej niecnej broszury było tak wstrętne, że wreszcie aż sam *Przegląd lwowski* redagowany jak wiadomo przez ks. Goljana z Krakowa, a wydawany we Lwowie tylko pod firmą ks. Podolskiego, uznał za konieczne nazwać je niewłaściwem i niegodnem kapłana polskiego. Dużo, dużo brudu musi być w tej pracy, kiedy ją potępił nawet *Przegląd lwowski* który tak chętnie służy reakcji!

* * *

Dr. Stella Sawicki w artykule o „Magnetyźmie zwierzęcym i jasnowidzeniu" umieszczonym niedawno w naszem piśmie, mówił o naśladownictwie, które jest zaraźliwem jak choroba. Czytając pamflet ks Domagalskiego, przyszła nam na myśl rozprawa szanownego Doktora. Zaledwie przemówił p. Walewski, zaledwie broniąc go, skompromitował się sekretarz Akademji umiejętnosci, zaledwie po tych dwóch sędziwy *Czas* wystąpił z artykułem ubliżającym charakterowi polskiego dziennika, a już pojawił się autor „Irlandji i Polski". Czyż to nie naśladownictwo? Miejmy atoli nadzieję, że skończy się ono, jak kończy się każda choroba zaraźliwa. We Lwowie nie mieliśmy także objawy „naśladownictwa." Od niepamiętnych czasów oficerowie tutejszej załogi żyli w harmonji z „cywilami" — aż tu ni ztąd ni z owąd przychodzi do bójki na ulicy między znanym rzeźbiarzem p. Barączem a pewnym porucznikiem. Jeszcze o tym wypadku mówić nie przestano, gdy drugi porucznik płatnął jakiegoś dorożkarza. Na szczęście skończyło się na tych dwóch wypadkach, bo bądź co bądź wojskowi należą do ludzi honorowych. Jaka szkoda, że do nich nie możemy zaliczyć kliki podwawelskiej! Gdyby zasady honoru kierowały jej czynnościami, nie obrażała by tak często narodu, który ją karmi i odziewa. Człowiek dobrze wychowany nie drażni w drugim jego uczuć najszlachetniejszych, a honorowy nawet je szanuje. Jeżeli brak wam głębokiego poczucia honoru — to bądźcie przynajmniej dobrze wychowani!

Józef Rogosz.

Z pola wielkich wynalazków.

(Dokończenie).

Volumometer, nowy przyrząd fizjologiczny.

Więcej jeszcze interesującemi niż spostrzeżenia podczas snu są spostrzeżenia, czynione na jawie; przyrząd nasz bowiem zdradza najlżejsze poruszenie duchowe. Wyobraźmy sobie przedmiot badany, leżący nieruchomo w spokojnem usposobieniu umysłowem. Wtedy widocznemi będą tylko drobne oscyllacje słupka wodnego, sprawione ruchami serca i oddechem. Dajmy teraz osobie badanej zadanie arytmetyczne np. mnożenie lub tłumaczenie na język obcy lub z języka obcego, to w tej samej chwili, w której się spotęgował proces myślenia, zobaczymy, że słupek wodny opadł. Opad trwa tak długo, dopóki zadanie nie zostało wykonanem, poczem wraca w jakiś czas dawniejszy stan prawidłowy.

Widzimy więc, że przy myśleniu, odwrotnie jak podczas snu, krew ubyła z kończyn i doprowadzoną zostać musiała do jakiego innego organu. Tym organem może być tylko siedlisko świadomości: mózg, który przez przybranie lub wydzielenie krwi ze siebie sprawia zmiany na obwodzie ciała, któreśmy wyżej opisali.

Ze zjawisk podczas snu otrzymanych przez nasz aparat, możemy uczynić ten niewątpliwy wniosek, że głębokość snu stoi w prostym stosunku do ilości krwi wydzielonej z mózgu na obwód ciała, przybywanie zaś krwi do mózgu sprawia stosownie do jej ilości półsen (drzemkę) lub przebudzenie. Z drugiej strony wykazuje nasz aparat w sposób jakościowo i ilościowo oznaczalny, że podczas każdego myślenia, każdego wzruszenia zmysłu, większa ilość krwi sprowadzona z obwodu ciała, napełnia mózg. Któż nie przypomina sobie gorącej głowy i zaczerwienionych policzków, jakie miewał przy rozwiązaniu trudnego zadania lub przy egzaminie!

Mózg „pracuje" wtedy, a ten sam stosunek zachodzi i ze wszystkiemi innemi narządami w ciele naszem; każdy z nich potrzebuje większego napływu krwi do wykonania pracy odpowiedniej swemu przeznaczeniu.

Wprawdzie mózg na jawie zawsze pracuje tj. myśli, a każdy kto choć cokolwiek siebie obserwował, wie że na jawie nie ma ani jednej chwili, w której byśmy nie myśleli, natężenie jednak myśli wymaga zwiększonego dopływu krwi. Idąc dalej w wywodach ze zjawisk, jakie nam daje volumometer, przyjąć musimy, że podczas głębokiego snu nie ma marzeń, bo te są niczem innem jak procesem myślenia, mózg zaś nie zawiera wtedy ilości krwi potrzebnej do myślenia. Dopiero w miarę stopniowego powrotu krwi do mózgu następuje półsen, a równocześnie półmyślenie czyli śnienie. Że wpływy zewnętrzne działające na zmysły wywołać mogą sny, wskazuje nam również nasz przyrząd. Każde bowiem wrażenie działające na organa zmysłowe śpiącego, sprawia przypływ krwi do mózgu, jeżli więc wrażenie było dosyć silne, to odpowiednia mu ilość krwi, która napłynęła do mózgu, może być wystarczającą, aby sprawić niedokładne myślenie czyli stojący w związku z wrażeniem zmysłowem sen.

W przytoczonym powyżej przykładzie, mogło otwieranie bramy i stąpanie po schodach, które śpiący za pomocą volumometru oznajmił, wywołać sen o złodzieju skradającym się do śpiącego.

Z chwilą normalnego przebudzenia zawiera mózg normalną ilość krwi, może więc normalnie myśleć. Jeźli jednak przebudzenie jest naglem, następuje znane każdemu uczucie wylęknienia, osłupienia i niemożność pozbierania myśli. Objawy te pochodzą ztąd, że mózg w okresie snu, w którym śpiącego zbudzono, nie zawierał jeszcze normalnej ilości krwi, nie może więc na razie normalnie myśleć.

Teorję o zwiększonym przypływie krwi do każdego pracującego organu, potwierdzają objawy towarzyszące procesowi trawienia. Część krwi potrzebna do trawienia odjętą została nietylko kończynom (odnogom), ale i mózgowi. Ztąd znana powszechnie ospałość i niezdolność do pracy umysłowej po każdej obfitszej strawie, ztąd owa nieprzezwyciężona chętka do spokoju i snu, jaką osoby niedokrewne uczuwają po jedzeniu.

Rzućmy teraz okiem pokrótce na owo cudowne urządzenie, za pomocą którego organa otrzymują większą ilość krwi, gdy jej do wykonania odpowiedniej pracy potrzebują. Od wszystkich organów, (a więc i od mózgu) biegną nerwy do środka naczyń tj. tej części mózgu samego, która leży między mózgiem a rdzeniem pacierzowym. Tam po nerwach przybywa telegraficzna wiadomość o potrzebie większej ilości krwi w pewnym organie. Za pomocą innych nerwów, które rozpościerają się wzdłuż naczyń biegnących od serca do obwodu ciała, następuje z ośrodka naczyń taki rozdział, aby organ potrzebujący otrzymał jej ilość żądaną.

Procesy odbywające się w mózgu i w kończynach, o ile takowe uwidocznia volumometer, przedstawiliśmy sposobem szematycznym. W rzeczywistości nie są one tak odosobione, lecz stoją w związku z mnóstwem równoczesnych zjawisk w innych organach, zjawisk w części znanych, w części zaś badaniu niedostępnych, które może dopiero zapomocą volumometru bliżej zbadać zdołają.

W ogóle jest rzeczą podziwienia godną, jak przy pomocy tak pojedynczego aparatu, którego wynalazek przypomina jajo Kolumba, można nietylko w sposób dla zmysłów przystępny uwidocznić, ale nawet zmierzyć najzawilsze zjawiska życia cielesnego i duchowego, których część wprawdzie już innemi sposobami została zbadaną, część jednak była tylko przeczuwaną. Dziś już możemy powiedzieć, że volumometer ma wielką przyszłość przed sobą, i że zastosowanie jego szczególniej przy łóżku chorego otworzyć może wgląd w historję powstawania i przebiegu wielu chorób, a tem samem wpłynąć na przyszłe sposoby leczenia.

Nie da się jednak zaprzeczyć, że aparat o którym mowa, jest w teraźniejszej swej konstrukcji nieodpowiednim do zastosowania w praktyce lekarskiej. Zastosowanie jego wymaga zbyt wiele zachodu, a spostrzeganie zjawisk więcej czasu, aniżeli ten, którym lekarz praktyczny rozporządzać może. Lecz, jak już wyżej wspomniano, konstrukcja przyrządu, któraśmy opisali, nie jest jedyną możliwą; skoro tylko doniosłość badań tego rodzaju zostanie poznaną w całej pełni, to niewątpliwie znajdzie się i sposób takiego urządzenia aparatu, które więcej odpowie wymaganiom praktyki codziennej.

Kartki z obczyzny.

(Ciąg dalszy.)

Oddawszy Cezarowi co cesarskie, jak chce mieć tego pismo święte, możemy teraz z czystem sumieniem zastanowić się nad innemi stronami niemieckiej cywilizacji np. o ile ona była zawisłą od rozwoju społecznego i umysłowego Francji.

Jak wiadomo Francja była od dawna ogniskiem, którego promienie rozchodziły się po całym kontynencie europejskim, rozbudzając powszechny ruch i życie...

Ale nie każdy może z czytelników zastanawiał się nad tem, że ze wszystkich europejskich narodów— Niemcy mają bodaj czy nie najwięcej do zawdzięczenia Francji, której cywilizacyjnemi okruchami żywili się przez czas długi....

Nie ulega wątpliwości, że wpływ ten nie zawsze bywał zbawienny, że wraz z potokiem cywilizacji przypływały i jej szumowiny, ale niepodobna zaprzeczyć, że wpływ ten istniał w całej potędze i odzwierciadlił się w tysiącznych fazach narodowego życia Niemiec....

Dziejopisowie niemieccy zapominają dzisiaj, jaką np. rolę odegrali e n c y k l o p e d y ś c i francuscy w Niemczech, nie tylko w zakresie filozofji, ale co ważniejsze w życiu politycznem, czego wymownym dowodem wpływ Woltera na Fryderyka Wielkiego, zapominają, że dla reorganizacji administracyjnej państwa pruskiego sprowadzano tysiącami Francuzów, którzy przeprowadzili gruntowną reformę w urządzeniach celnych, podatkowych i w ogóle finansowych, zapominają, że cała reforma polityczno-społeczna, przedsięwzięta po bitwie pod J e n ą za poręką „oswobodziciela" Prus S t e i n a, była niczem więcej jak wierną kopją tych urządzeń socjalnych i politycznych, które Francja strumieniami krwi własnej zdobywszy, już lat kilkanaście przedtem w życie wprowadziła.

Niemieccy fabrykanci dziejów gotowiby w moim bezgranicznem ubóstwieniu dla Steina i w swojej pogardzie dla całej cywilizacji francuskiej, gotowiby powiadam twierdzić, że to przeobrażenie społecznego organizmu niemieckiego było wyłącznie konsekwencją historyczną, i że do tego nie było potrzeba francuskich wzorów, gotowiby, powtarzam, gdyby nie stanowcze oświadczenie samego Steina, który ze szczerością, cechującą całą działalność polityczną tego istotnie wielkiego męża stanu, w swoich „Memorjałach" sam się do naśladownictwa przyznaje.

Pomijając projektowane przez barona Steina urządzenie wyższych władz państwowych, które było fotograficzną prawie odbitką urządzeń francuskich, dość przypomnieć sobie dwie wielkie reformy społeczne tj. uwłaszczenie włościan i zaprowadzenie wolności przemysłu i handlu, dwa wspaniałe kwiaty wielkiej Rewolucji francuskiej, które zaaklimatyzowane na niemieckim gruncie przyczyniły się może najwięcej do odrodzenia Niemiec. Nie mniej widocznie i skutecznie odźwierciedlił się w całem życiu państwowem i społecznem Niemiec, wpływ idei politycznych skrystalizowanych w przewrotach społecznych Francji w roku 1789 i 1848. Trzy magiczne słowa rozlegające się z nad Sekwany: *liberté, fraternité, egalité!* odbiły się potężnym echem w sercach tysięcy od Renu po Bałtyk i Odrę i rozbiły zatwardziałą skorupę partykularystycznego obskurantyzmu i przestarzałego feodalizmu Niemiec.

Dziwna igraszka losu! W stosunkach obu narodów zdarzały się chwile, w których Francja przyczyniała się także p o ś r e d n i o do odbudowania Niemiec.

Wypędzenie Hugonotów z Francji przysporzyło Germanji najlepszych rzemieślników z pomocą których przemysł i handel doprowadzony do najzupełniejszego upadku w czasie wojen religijnych, począł szybko odradzać się i na nowe wstępować tory. Tak więc emigrantom francuskim zawdzięczają Niemcy swoje odrodzenie ekonomiczne.

Cios zadany Niemcom przez Napoleona pod Jeną stał się tak samo podwaliną narodowego ich odrodzenia, jak bitwa pod Sedanem zawiązkiem ich państwowej jedności.

Czy więc w pokoju, czy w wojnie, bici czy bijący, Niemcy zawsze korzystali na stosunkach swoich z sąsiadami z za Renu.

Mógłby ktoś bardzo słusznie zauważyć, że naśladowanie instytucyj i urządzeń francuskich w Niemczech nie jest bynajmniej czynem karygodnym, i że życzyć należy, ażeby każdy naród brał od sąsiadów to co może najlepszego, jest to bowiem warunek *sine qua non* ogólnego postępu. Piszę się z chęcią na to zdanie, ale ono bynajmniej nie umniejsza doniosłości przytoczonych faktów.

Chodzi mi bowiem o skonstatowanie, że Niemcy mają do zawdzięczenia Francji dużo, bardzo dużo, a bez porównania więcej, aniżeli Francja — Niemcom. Zkądże więc dziś ta pyszałkowatość, ta ignorancja wszystkiego, co francuzczyzną trąci, przebijająca się we wszystkich współczesnych drukowanych wytworach germańskiej umysłowości i propagowana z namaszczeniem z każdej katedry dwudziestu jeden niemieckich wszechnic.

Doprawdy, śmiech pusty człowieka ogarnia, słysząc lub widząc, jak wielcy niemieccy augurowie historjozofji z całą zgrają politycznych i literackich pół i ćwierć-genjuszków wyrokują np. o wielkiej Rewolucji, o tej rewolucji, która jednym tytanicznym zamachem wstrząsnęła wszystkie posady społecznego porządku i rozlawszy nowe potoki światła na walącą się budowę zbutwiałych idei i przestarzałych instytucyj XVIII stulecia, na gruzach ich zbudowała świat nowy, świat wolności i prawdziwego postępu... Punktem jej kulminacyjnym jest podług tych panów ścięcie Ludwika XVI i postawienie paryskiej aktorki na tronie w *Nótre Dame de Paris*. Po za obrębem szafotu krwi i więzień — nie ma dla nich nic, — nic, co by w historji cywilizacji dodatnią stanowiło kartę!...

Potępiwszy w ten sposób rewolucję francuską Niemcy uważają się za tem więcej uprawnionych do postawienia się *„an der Spitze der Civilisation."* Zkądże od razu to nagłe poczucie wielkości? Zkąd to od razu podniesione do potęgi poczucie powołania

do wielkiej misji cywilizacyjnej?... Czyżby kilka wygranych bitew i powiększenie inwentarza państwowego o $1^1/_2$ miljona „niesfornej“ alzacko-lotaryngskiej ludności, o 5 miljardów franków w gotowiznie i kilka tysięcy armat zdobytych na nieprzyjacielu, — czyżby to wszystko miało stanowić krok naprzód w historji prawdziwego postępu?... A jednak takby należało sądzić ze wszystkich faktów, które bezpośrednio nastąpiły w Niemczech po roku 1871. To poczucie wyemancypowania się z pod wpływu Francji osiągnęło swój punkt zenitowy w walce Bismarka przeciwko językowi francuskiemu w dyplomacji, a z drugiej strony w rewolucji krawców niemieckich, którzy z równym patrjotyzmem i z równém niepowodzeniem chcieli wyrugować mody francuskie i swoje własne narzucić cywilizowanemu światu!...

Powrócimy raz jeszcze do tego przedmiotu, a teraz obowiązek kronikarski nakazuje mi pomówić nieco o współczesnem położeniu ekonomicznem Niemiec.

* * *

Położenie ekonomiczne Niemiec w żadnym razie nie można nazwać zadowalającem. Ogólny upadek produkcji narodowej jest faktem, którego doniosłości nie zmniejszy mniej lub więcej pomyślny stan finansowy skarbu państwa.

Niedawno francuski ekonomista Paul Leroy Beaulieu rozbierał w *Journal des Debats* w obszernym artykule powody, które wpłynęły na upadek ekonomiczny Niemiec. Artykuł ten napisany trzeźwo i z gruntowną znajomością rzeczy, wywołał nawet w Niemczech senzację, skoro sam ks. Bismark powołał się na niego z trybuny parlamentarnej. P. Leroy Beaulieu przyczynę upadku przemysłu fabrycznego w Niemczech motywuje w następujący sposób:

„Zmniejszenie produkcji większej części gałęzi przemysłu fabrycznego, jakkolwiek najgłówniej dotknęło Niemcy, jest faktem prawie powszechnym. Powody takiego stanu rzeczy są łatwe do odgadnienia.

W chwili powstania wielkiego przemysłu fabrycznego i zaraz w pierwszym perjodzie jego rozwoju, konkurencja przemysłowców była bardzo ograniczoną. Pierwsi, którzy rzucili się na tę drogę, szybko dostąpili powodzenia, jeżeli tylko mieli dostateczną dozę rozsądku i sprytu. To powodzenie natchnęło odwagą całą masę głów przedsiębiorczych, przekonanych, że dość jest pójść tą samą drogą, aby osiągnąć te same rezultaty.

Tymczasem rozwój przemysłu był już w tym czasie mniejszy i przyniósł mniejsze dochody. Skarżono się zatem powszechnie, że przemysł przestał się rozwijać, ponieważ porównywano skromne stosunkowo zyski przedsiębiorstw teraźniejszych z bogactwami, zdobytemi przez dawniejszych przemysłowców. Jednym z głównych powodów umniejszenia się dochodów w wielu gałęziach produkcji, był nadzwyczajny rozwój i ulepszenie środków samej produkcji.

Nigdy człowiek nie może za wiele wyrabiać, albo za wiele pracować, ale może za wiele jednego, a za mało drugiego towaru produkować. Fakt ten o ile sądzimy ma miejsce od lat kilku. Pewne gałęzie przemysłu fabrycznego, w których mechanika główną odgrywa rolę, rozwinęły się o wiele więcej, aniżeli przemysł drobny i rolnictwo. Tym sposobem nastąpiła pewna nierównowaga w produkcji i trudność warunków zbytu dla pojedynczych producentów.

W końcu jednym z głównych powodów tego krytycznego stanu, w którym znajduje się obecnie prawie cały handel świata, jest nadużycie kredytu we wszelkich jego formach, fakt, który nigdy jeszcze z taką doniosłością nie wystąpił, jak w latach ostatnich. W Niemczech, Austrji, Stanach Zjednoczonych, zaliczenia (avances) na rozmaite przedsiębiorstwa i towary przerodziły się w prawdziwą manję.

Francja szczęśliwie uchroniła się od tej zarazy z powodu przezorności swego stanu kupieckiego. Dziwna rzecz bowiem, naród, który w sprawach politycznych za najmniej przewidującego uchodzi, okazuje się najrozważniejszym w sprawach przedsiębiorczo-handlowych.

Jeszcze jedno uchroniło Francję od zniszczenia kredytu, to jest niepewność przyszłości, potrzeba naprawienia zrządzonych szkód, uwolnienia terytorjum i zapłacenia kontrybucji wojennej.

Co do Niemiec faktem jest również, że nadzieja pomyślnej przyszłości, oparta na gorączkowym rozwoju interesów w końcu wojny, dostateczną była, aby zawrócić głowy robotnikom, którzy domagali się ciągłego podwyższania płacy, co też w owym czasie było łatwem do osiągnięcia.“

P. Leroy Beaulieu zastanawia się dalej nad upadkiem jednej z najważniejszych gałęzi produkcji niemieckiej, tj. przemysłu żelaznego.

„Przemysł żelazny, mówi on, który obecnie najwięcej uległ stagnacji, jest gałęzią produkcji najsilniej wybujałą w północnych Niemczech, które prowadzą rozległy handel tego towaru z Ameryką. Akcje n. p. wielkiej fabryki wyrobów żelaznych w Dortmund w ciągu 3 lat straciły $^9/_{10}$ swojej wartości realnej.

Należy sobie zdać jasno sprawę z takiego stanu rzeczy. Konsumcja żelaza przez pewien czas wzrastała z ogromną siłą i przyciągała tym sposobem nadzwyczajną ilość kapitałów przedsiębiorczych.

Tymczasem w ostatnich czasach konsumcja żelaza zmniejszyła się znacznie i o ile się zdaje coraz większemu ulegnie zmniejszeniu.

Najwięcej żelaza spotrzebowały koleje żelazne. Od roku 1860 do 1872 rok rocznie przybywała ogromna ilość dróg nowych.

Obecnie gorączka kolejowa ustała. Linje główne są już gotowe, jeżeli więc jest mowa o nowych kolejach, to tylko o bocznych.

Przemysł żelazny w ściślejszem znaczeniu, cierpi także z powodu zwiększającej się konsumcji stali, używanej zamiast żelaza.“

P. Beaulieu wskazuje i na inne powody upadku ekonomicznego Niemiec: „Emigracja do Ameryki ustała i tym sposobem sparaliżowała interesa dwóch wielkich miast: Hamburga i Bremy. Ludność zbyteczna, która perjodycznie odpływała do Ameryki, rozlała się obecnie po wszystkich centrach handlowo-przemysłowych, zwiększając tym sposobem konkurencję poszukujących pracy robotników.

„Ogólny stan krytyczny przemysłu i handlu europejskiego (mówi w końcu słynny ekonomista) nie dotknął Francji. Wyjątkowe to położenie zawdzięczamy z jednej strony normalnemu charakterowi naszego handlu i naszego przemysłu, z drugiej strony nader pomyślnemu rezultatowi naszych ostatnich zbiorów. Nieszczęście nawet, które dotknęło naszą ojczyznę, przyczyniło się także nie mało do tego powodzenia. Ono to nauczyło nas większej przezorności, ono zaszczepiło w nas poczucie wspólnej, usilnej pracy dla zagojenia naszych ran.

Dziwnem się nam wydaje owo gorączkowe zniecierpliwienie z tamtej strony Renu. Naszym sąsiadom nie dostaje rezygnacji, a przynajmniej owej elastyczności ducha i charakteru, zdolnej zarówno do zniesienia wielkich tryumfów, jak i poddania się niepowodzeniom“....

* * *

Jak widzimy z tego krótkiego streszczenia p. Beaulieu nie sądzi, aby powody upadku produkcji niemieckiej były czysto lokalnego charakteru, podług niego są one raczej wynikiem ogólnej stagnacji w świecie przemysłowo-handlowym, stagnacji uwydatniającej się w położeniu ekonomicznem Austrji, Anglji, Ameryki i innych państw. Skargi zaś jakie ogólnie słyszeć się dają w Niemczech, pochodzą tylko skutkiem wygórowanych nadziei po wojnie 1870—1 w stosunku do obecnej rzeczywistości. Niewątpliwie, stagnacja przemysłu niemieckiego była w znacznej części konsekwencją ogólnego przesilenia ekonomicznego, zdaje nam się jednak, że powodów jej szukać także należy w znacznej części w warunkach rozwoju socjalnego i państwowego Niemiec w ciągu lat ostatnich. Zabór Alzacji i Lotaryngji przyczynił niemało złego. Wytwory tych gałęzi produkcji, w których kraj ten oddawna celował, zalały rynki niemieckie i wyrugowały wyroby krajowe, które ani gatunkiem ani taniością nie mogą sprostać wyrobom alzackim. Co jednak jest nadzwyczaj zadziwiającem, to, że zniesienie granicy celnej między Alzacją a Niemcami i pozyskanie nowych ważnych rynków zbytu było jak dotąd dla Alzacji zarówno niekorzystnem, jak i dla Niemiec. Od czasu wojny kilka fabryk alzackich i to dość znacznych ogłosiło swoją upadłość. Nie tu miejsce rozszerzać się nad przyczynami tego nader ciekawego zjawiska, może będę miał sposobność kiedy indziej obszerniej o tem pomówić, tu tylko wspomnę, że jedną z głównych jego przyczyn, jest wyższość urządzeń kredytowych francuskich nad niemieckiemi, które nie przedstawiają producentom i konsumentom tych ułatwień w cyrkulacji towarów, jakie są charakterystyką praktycznych stosunków francuskiego kupiectwa. Pan Beaulieu nie przywiązuje zbyt wielkiej wagi do skutków tranzakcji 5 miljardowej kontrybucji.

Nam się zdaje przeciwnie, że zbyt wielki, a co ważniejsze zbyt gwałtowny napływ złota na rynki pieniężne zaszkodził niezmiernie namacalnemu biegowi interesów. Bezpośredniem następstwem tego napływu było znaczne podwyższenie cen artykułów życia i podniesienie płacy robotnika.

Pośredniem następstwem było rozbudzenie się w wysokim stopniu ducha spekulacyjnego, na który kontrybucja francuska wywarła ten sam wpływ w Niemczech, co wystawa wiedeńska w Austrji, tj. spotęgowawszy nadzieje i widoki wszystkich, i nie zaspokoiwszy ich nawet w setnej części, wytworzyła z konieczności — reakcję finansową i ekonomiczną.

Niemieckim bankierom, kupcom, producentom, przedsiębiorcom i fabrykantom zdawało się, że z chwilą odbudowania niemieckiego cesarstwa osiągną monopol na wyroby niemieckie w całym wszechświecie — i raz na zawsze zabiją konkurencję francuską.

Niestety, smutna aż nadto rzeczywistość przekonała patrjotów niemieckich, że wielkość polityczno-militarna nie zawsze idzie w parze z wielkością moralnego, intelektualnego, a nawet ekonomicznego wpływu.

Ogłosiwszy *urbi et orbi* akt emancypacji przemysłu i handlu germańskiego z pod obcych wpływów, Niemcy po 5 latach patrjotycznej propagandy doszli do tego, że dziś nietylko że ślepo naśladują francuskie mody, nietylko że sprowadzają z Francji wyroby galanteryjne i inne, ale o zgrozo! metropolja niemiecka sprowadza codziennie masami na potrzeby swoich mieszkańców, takie artykuły jak m a s ł o!... Dalej nie każdemu może wiadomo, że dziś w Berlinie pracuje około 3000 rzemieślników francuskich.... *Tempora mutantur!* Przed wojną dzienniki francuskie żaliły się, że ich fabryki zbyt wiele zatrudniają Niemców, dziś Niemca w nich ani poświeć!...

(Dok. n.)

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— Resurrecturi. Powieść w dwóch tomach przez Kraszewskiego — Warszawa — Gobethner 1876.

I oto nowa powieść niestrudzonego autora, osnuta na tle powszedniego życia. Na tle świetnej ongi przeszłości, na gruzach minionej chwały rodu Horyszków, skreśla nam autor obraz ludzkich zabiegów, zwątpień i nadziei. Znakomity ród Horyszków już dogorywał, a na utrzymanie tradycji pozostały tylko ruiny pałacowe, wśród których starościna Horyszkowa wraz z wnukami biedny żywot wiodła, będąc żywą illustracją dla młodego pokolenia tej prawdy, że gdy życia praca nie wspiera, świetność rodowa i mienie ludzkie mogą być losu igraszką. Nędza panuje w tem cichem ustroniu. Cecylja, sierota, wyposażona sercem i rozumem budzi się sama do życia czynnego, do pracy, reszta usypia w miłej ułudzie wyczekując zmiłowania boskiego; a gdyby nie marszałek, siostrzan Horyszkowej, nie ksiądz wikary Kulebiaka i nie Szmul poczciwy, to i chleba by często w tem pustkowiu zabrakło. — Cecylja młoda, urodziwa, jak mówi pan Drapacki, stworzona na królewskie pokoje, opuszcza dom, rodzinę i idzie w świat szukać chleba dla siebie i dla ukochanej babuni. Przyjmuje w Warszawie guwernerkę w domu hr. Sulejewskich. Tu jednak po kilku latach doznaje nowych boleści. Hr. Sulejewski, żonaty, pokochał Cecylję, która choć mu wzajemna, nie zapomniawszy o swej godności dziewiczej, opuszcza chlebodawców i wraca do rodziny. Tu po latach znalazła przerażającą zmianę: komnaty pleśnią porosłe, babunię bliższą grobu, a braci, Henryka i Juljana awanturujących się w sąsiedztwie. Cecylja okiem doświadczonem widzi dla swojej rodziny jedyny ratunek w pracy. Groszem zaoszczędzonym wyprawia braci na naukę do Warszawy — Henryk zostaje dyrektorem fabryki machin, Julján lekarzem. Sama zaś zajmuje się ogrodnictwem, zakłada cieplarnię, sprowadza kwiaty, gospodaruje, przywraca domowi byt utracony,

jednem słowem budzi nowe życie na gruzach minionej chwały Horyszków. Ile jednak wycierpiała od świata, od złych sąsiadów, ba nawet od własnych, z jakiemi pokusami, wśród jakich wysileń i zawodów dzieła dokonała, o tem dla braku miejsca mówić nie możemy. — Dość że była ofiarą szyderstwa, naigrywania się ludzi nikczemnych, niezrozumiana przez własnych, potępiona przez wszystkich, chociaż była duszą zacną, uosobieniem pracy i bohaterstwa. W nagrodę darzy ją autor po latach walki okropnej ręką hr. Sulejewskiego. Szczęśliwą zdaje się Cecylja bo na szczęście zasłużyła, a jednak życiem złamana, zapada na piersiową chorobę i pod włoskiem niebem przy boku męża którego kocha, usypia aby się więcej nie obudzić. — A może była to najpiękniejsza nagroda, jak mówi sam autor, za życie piękne Cecylji, że nie dożyła rozczarowania...... Całość czyta się z największem zajęciem i przyjemnością.

— Lavater. Carus Gall. Zasady fizjognomiki i frenologji przez A. Ysabeau, z francuskiego przetłumaczył i uzupełnił Wł. Noskowski. Nakładem Ungra i Banarskiego — Warszawa — 1876.

Jest to wykład popularny o poznawaniu charakteru z rysów twarzy i kształtu głowy, opracowany na podstawie dzieł powyżej wyszczególnionych uczonych. Rzecz cała napisana bardzo przystępnie, a że tekst jest ozdobiony 174 ilustracjami, przyczyniającemi się w wysokim stopniu do zrozumienia przedmiotu, więc książka staje się przystępną dla najobszerniejszego koła czytelników.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Sztuka i literatura.

— Wtorkowe (18 bm.) przedstawienie „Proroka“ i czwartkowe (20. bm.) „Fausta“ Gounoda, zaprezentowały panią Paschalis, przybyłą z Lizbony jak wieść niesie, rodaczkę naszą — a prymadonnę oper zagranicznych — tak wszechstronnie a tak korzystnie, że śmiało twierdzić możemy, iż od występów głośnej p. Artot nie było na scenie naszej równie znakomitej śpiewaczki. Trzy rzeczy niezbędne, które dają prawo do takiego określenia tj. głos, szkoła i gra dramatyczna — wszystko to a przedewszystkiem pierwsze posiada p. Paschalis w tak wysokim stopniu, że nie jedna z rozgłośną sławą śpiewaczka zagraniczna mogłaby tego śmiało jej pozazdrościć. Tak potężnego głosu — poczynającego się w niskim regestrze od obszernego, grzmiącego altu, a dochodzącego z łatwością do najwyższych tonów sopranowych — wszędzie z równą prawie objętością — takiego głosu trzebaby w Europie ze świecą poszukać! Dość będzie jeśli powiemy że nasza scena, licząca się pewnie do większych w Europie — zdaje się prawie za małą, za ciasną, gdy śpiewaczka *fortissimo* niskie lub wysokie tony atakuje. Metoda włoska artystki, jakkolwiek widocznie bardzo dobrze studjowana — pozostawia tu i owdzie nieco do życzenia, ale też gdyby p. Paschalis odpowiednią do głosu olbrzymiego posiadała szkołę — to pewnie nie mielibyśmy przyjemności widzieć ją i słyszeć we Lwowie. Gra dramatyczna artystki wyborna. We Fauście wystąpił po raz pierwszy w partji Mefista — dawno zapowiadany basista p. Tercuzzi. Zdaniem naszem partja Mefista nie może służyć za probierz głosu basowego, bo przeważnie pisana w wyższych pozycjach i baryton o niskim regestrze równie dobrze jak basista, wywiązać się zdoła z zadania. Dla tego wstrzymujemy się dzisiaj z należytą oceną wartości p. Tercuzzi — jako basisty — dodamy tylko — że *centro di voce* p. T. jest bardzo piękne — w ogóle głos sympatyczny — szkoła dobra. Gra dramatyczna, przesadzana w tym kierunku, że p. Ter. naśladował jakiegoś djablika kuternogę — nie zaś demona Goethowskiego, jakim Mefisto być powinien — zresztą wcale dobra. Oczekujemy drugiej próby. — Możeby dyrekcja zaprezentowała nam teraz Hugonotów?

Stan. W.

— Dzień 9. kwietnia był dla miłośników muzyki stolicy naszej prawdziwą uroczystością, w dniu tym bowiem po raz pierwszy mieliśmy sposobność usłyszeć najnowszy utwór mistrza włoskiego, który od roku wprowadza w zachwyt prawie cały świat muzykalny Europy. Mówimy tu o sławnem „Requiem“ Verdi'ego, skomponowanem na cześć Aleksandra Manzoni'ego. Panu Mikulemu dyrektorowi galicyjskiego towarzystwa muzycznego należy się wdzięczność i prawdziwe uznanie za wprowadzenie tego monumentalnego dzieła, które śmiało rzec można, wykonane było dobrze i ze podniosłością godną dzieła samego i jego mistrza. Verdi porzucił tu dawny swój styl podawania śpiewnych melodyj w formie oper i starał się o głębszą myśl, pochodzącą zarówno z serca jak wyobraźni, którą znakomicie w tym utworze przedstawił. Jego przedostatni utwór „Aida“ niestety dotąd u nas niesłyszany stanowi jakby przejście z dawnego romantycznego stylu do nowoczesnego, że tak powiemy, Wagnerowskiego, polegającego na uplastycznieniu myśli zapomocą tonów. Słysząc ten utwór mimowoli przychodzi nam na myśl porównanie go z podobnym utworem Mozarta. Pierwszego utwór jest więcej przejmujący, efektowny, ale za to nie tyle prawdziwie żałośny, u drugiego zaś każdy ton to najczystszy zdrój nieudanej boleści i uczucia, to śpiew nie ludzki ale anielski, i dlatego „Requiem“ Mozarta należy wyżej postawić nad Verd'iego. Charakterystyką utworu Verdiego jest plastyczne przedstawienie każdej myśli, i tak w części pierwszej: „Requiem“ i „Kyrie,“ to wzniosła i rzewna modlitwa do Boga o wieczny pokój, tchnąca prawdziwie idealnym duchem religijnym; w części drugiej „Dies irae“ najwięcej efektownej, z całego utworu przedstawia nam mistrz straszny sąd ostateczny w całej swej grozie, słychać grzmoty, pioruny, zewsząd zwoływania, to całe zastępy aniołów trąbią, by ludzie z martwych powstali na sąd Boga, wszystko drży i oczekuje tej strasznej chwili. Wszystkie te momenta wybornie są przez orkiestrę zcharakteryzowane, instrumenta krescendują aż do najwyższego fortissimo, nagle przestają, następuje kilka tonów urywanych i znowu pauza — to jakby śmiertelny pot uderzył na czoło, słuchacza aż dreszcz przejmuje. Duet na sopran i alt, jakoteż arja tenorowa i basowa odznaczają się rzewnością melodji i są głosami błagalnemi o łaskę i przebaczenie; ostatni ustęp tej części „Lacrymosa“ jest najrzewniejszym, w niektórych miejscach płacz tak wybornie naśladowany, że formalnie słychać łkania, bo też to „kraina płaczu.“ Tylko początek zbyt wyraźnie tchnie marszem żałobnym Beethovena. Część trzecia „Domine Jesu“ składająca się z kwartetu solowego, jest może najszlachetniejszą i odszczególnia się prześliczną instrumentacją, część ta może najwięcej zbliża się do stylu Wagnera. W części czwartej „Sanctus“ mamy mistrzowsko przeprowadzoną fugę na dwa chóry; część ta jest najtrudniejszą i tylko niezmordowanej pracy i umiejętnemu kierownictwu dyrektora Mikulego przypisać należy że z taką precyzją wykonaną została. Następna część „Agnus Dei“ wyraża myśl niewinności i czystości, i odznacza się prostą i anielską słodyczą, nie ma tu żadnych akordów, a melodja prowadzona jest w oktawach. Część szósta „Lux aeterna“ to światło zagrobowe i wieczne zbawienie, a ostatnia „Libera me“ w której znowu fuga gra główną rolę, kończy się gorącą modlitwą do Boga. W każdym razie dzieło to robi wielkie wrażenie na słuchaczu a przyczynia się do tego nie mało jego staranne wykonanie. Chóry i orkiestra trzymały się z małemi wyjątkami doskonale. W partjach solowych odznaczały się: panny R. i H. obydwie szczególnie pięknemi niskiemi tonami i obszernością skali, — pani T. i panowie G. i C. Wykonanie utworu byłoby niezawodnie jeszcze świetniej wypadło gdyby byli pp. Köhler i Zakrzewski także udział wzięli. Następnego dnia to samo dzieło zostało powtórzone, niestety w południowej godzinie, która w dniu powszednim nie dla każdego była stosowną.

— Wydział Sejmu galicyjskiego, powierzył p. Hochbergerowi, dyrektorowi urzędu budowniczego miejskiego wypracowanie planu gmachu sejmowego na podstawie planów, premiowanych na konkursie.

— Zasłużony pisarz K. Wł. Wojcicki obchodzi w tym roku pięćdziesięcioletnią rocznicę pracy na polu literackiem. W celu uczczenia jubilata, który jest redaktorem „Kłosów“ wydawca tego pisma postanowił wydać z ilustracjami „Klechdy“ które należą do najcelniejszych prac Wojcickiego. Prenumerata na to wydanie już rozpisana.

— „Milton“ nowy dramat Jokai'a, grany w Peszteńskim teatrze narodowym, uzyskał sobie od pierwszego razu ogromny poklask publiczności. Zdania krytyków w ocenie były jednak dość podzielone.

— Głośne „Daniszewy“ Piotra Newskiego eksponowano w wiedeńskim teatrze miejskim z sukcesem dość wielkim.

— Ryszard Wagner zatrudniony jest obecnie komponowaniem muzyki dla swojego „Parcival'a“, dawno już wykończonego utworu poetycznego, zachwalonego zewsząd w wysokim stopniu. Oprócz tego głośny poeta-kompozytor pracuje nad tematem indyjskim „Buddah“ — którego szkic dramatyczny prawdopodobnie jeszcze nie gotowy.

— Offenbach komponuje 3 aktową operetkę pt. La foire Saint Laurent (Jarmark św. Wawrzyńca), która aż w przyszłym roku dostanie się na jednę ze scen paryskich.

— Mermet'a nowa opera „Jeanne d' Arc“ wykonaną została po raz pierwszy 5. kwietnia w wielkiej Operze paryskiej. Piszą, że wspaniałe dekoracje cieszyły się tym razem większym aplauzem niżeli muzyka.

Odkrycia i podróże.

— W gubernji Kaliskiej, na gruncie wsi Włoczyn, odkryto cmentarzysko pogańskie, na którem znaleziono rozmaite przedmioty, między niemi dwie urny dobrze zachowane. Na spodzie każdej, pod popiołami i kośćmi znajdował się przedmiot, który archeologja zalicza do rzędu *kolczyków*. Warszawski „Tygodnik Illustrowany“ poda wkrótce opis znalezionych przedmiotów wraz z ich rysunkami.

— Odkrycie wrzącego jeziora na wyspie *Dominica* (Antylle) wzbudziło ogólne zajęcie w świecie naukowym. Kilka osób, które przeszukiwały góry lesiste za miastem Roseau, niespodziewanie, na wysokości 2500 stóp nad pow. morza, natrafiły na jezioro liczące w obwodzie 2 mile. Gdy wiatr na chwilę rozwiał siarczane obłoki pary, pokrywające powierzchnię jeziora, spostrzeżono w niewielkiem od brzegu oddaleniu bijący w górę gruby słup wody, 10 stóp wysoki. Przyczynę tego zjawiska upatrują w wulkanicznej właściwości gruntu. Brzegi jeziora utworzone są z grubych pokładów siarki. Wielu geologów przygotowuje wyprawę naukową do tego jeziora.

— Podróżnik afrykański, porucznik Cameron, przybył 3 kwietnia na parowcu Congo do Liverpoolu, gdzie przyjęto go nadzwyczaj uroczyście. Przywiózł z sobą przeróżne okazy kruszców i fauny Afryki środkowej.

— Z Sztokholmu donoszą, że profesor Nordenskjöld zamierza udowodnić, iż ta przeszłoroczna jego wyprawa do Jenissej otworzyła nowy szlak handlowy z Norwegji do Jenissej. W tym celu wyruszy 7 lipca br. z Gothenburg'a na statku parowym, który może unieść ciężaru do 10000 pudów. Metą tej wycieczki będzie znowu ujście Jenissej. Parowiec pójdzie jeszcze rzeką w górę aż do Dudinki, gdzie rozpoczyna się już na Jenissej'u żegluga parowa. Tam naładują dla Norwegji grafit i inne produkta syberyjskie.

Sądownictwo.

— Hipolit baron Ertel, który wydał moskiewskiemu pułkownikowi Mołostwowowi za 8.000 rubli ważne papiery z austrjackiego ministerstwa wojny, mianowicie „Ordre de bataille“ landwery i plan twierdzy ołomunieckiej, został przez wiedeński sąd wojenny skazany na dziesięć lat ciężkiego więzienia, zaostrzonego postem jednorazowym co miesiąc, utratę stopnia oficerskiego i szlachectwa. Zasądzony liczy lat 23, rodem jest z Loeben i był porucznikiem w 12. pułku strzelców. Zasądzono go na podstawie §§. 324 i 325 wojskowego prawa karnego, traktujących o zbrodni szpiegostwa. Za zbrodnię tę naznaczoną jest w czasach wojennych kara śmierci, w czasie pokoju zaś więzienie ciężkie do lat dziesięciu. Ertlowi wymierzono najwyższą karę ze względu na ważność papierów, które wydał ościennemu państwu.

ROZMAITOŚCI.

— Starożytni pisarze greccy i rzymscy, jak n. p. Aristoteles, Pliniusz i Dioskorides zapewniają niejednokrotnie z całą powagą, że w pewnych porach roku miód z okolic bliskich Kaukazu, spożyty nabawia człowieka szalonego obłędu; Ksenofon zaś opowiada, iż w pobliżu Trebizuntu kilku żołnierzy z dziesięciotysięcznej armji, po zjedzenia miodu znalezionego na polu, rozchorowało się śmiertelnie. Te mniemania starożytnych, pozornie do prawdy niepodobne, nabierają obecnie potwierdzenia skutkiem badań różnych przyrodników, mianowicie: Lambert'a, Tournefort'a i Guldenstedta. Wszyscy oni zgodzili się w tej mierze, że miód z kwiatów Azalea pontica i Rhododendrum ponticum ma własność odurzającą. Atoli nie tylko w Małej Azji spotykano taki miód zatruty; przyrodnik Seringe opowiada o dwu pasterzach szwajcarskich, którzy zatruli się miodem znalezionym w gnieździe trzmielów. Trzmiele te przyniosły go z roślin Aconitum napellus i Licoctonum. Miód, który pszczoły Pensylwanji, Karoliny Połudn., Georgji i Florydy, wydobywają z roślin: Kalmia augustifolia, latifolia i hirsuta, równie z Andromeda mariana — sprawia często, jak zapewniają przyrodnicy Smith i Barton — kurcze żołądkowe, zawrót głowy a nawet pomięszanie zmysłów. Podobnie opowiada Azsrra, że miód obu zwykłych gatunków pszczół Paragwajskich, ubezwładnia zupełnie, nabawia przytem konwulsyj i boleści gwałtownych. Podróżnik August Saint-Hilaire opisał szczegółowo podobny wypadek z miodem zatrutym, który się jemu samemu przydarzył. Postępując dłuższy czas wzdłuż brzegów rzek Rio de la Plata i Uraguay (w połud. Ameryce), przybył na olbrzymią pustynię, zamieszkałą wyłącznie przez jaguary, trzody dzikich koni, jelenie i sarny. Oczekując na przewodnika, który miał mu być przysłanym z daleka, zabawił kilka dni nad rzeką św. Anny, i w tym czasie robił botaniczne wycieczki w okolicę. Na jednej z takich ekskursyj ujrzał gniazdo ós, które o stopę nad ziemią, zwisało z gałęzi małego drzewa. Kształt miało owalny, wielkość głowy ludzkiej, kolor brunatny, a było sporządzone z takiej samej masy, jak u ós europejskich. Dwaj ludzie z jego orszaku, żołnierz i strzelec, zburzyli je i zabrali miód, we wnętrzu gniazda obficie zgromadzony. Saint-Hilaire spożył z niego zaledwie dwie łyżki, również nie więcej tamci dwaj towarzysze, a wszyscy przyznali, że miód ten miał słodycz nader przyjemną. Wkrótce potem Saint-Hilaire poczuł przykre boleści w żołądku. Chcąc ulżyć sobie, położył się w cieniu woza i zapadł w sen głęboki. Obudziwszy się po pewnym czasie, powstał wprawdzie, ale uczuł się tak osłabionym, że nie zdołał ujść nawet 30 kroków. Więc powrócił znowu pod wóz i położył się, w tem zaś ku największemu zdziwieniu poznał, że całą twarz miał łzami zalaną, i niebawem porwał go śmiech konwulsyjny. Zaledwie się uspokoił trochę, przyszedł doń strzelec zmieniony na twarzy nie do poznania, i opowiedział że od pół godziny błądzi w koło, nie wiedząc gdzie się znajduje. Nie otrzymawszy odpowiedzi usiadł pod wozem obok swojego pana, którego nagle opanowała najstraszniejsza agonia. Wprawdzie nie czuł boleści wielkich, ale popadł w tak olbrzymie osłabienie, że się równało zupełnej dysorganizacji ciała, przyczem obawa śmierci niechybnej trapiła go bezustannie. Przytem utracił tak dalece siłę wzroku, że nie mógł o dwa kroki rozróżnić przedmiotów. W tym stanie okrutnym zażądał ciepłej wody, gdy zaś poczuł, że za każdym prawie łykiem lżej mu się robiło, pił ją bezustannie. Tymczasem strzelec, spokojny do tej chwili, zerwał się nagle, podarł odzienie na sobie, pochwycił strzelbę i wypaliwszy ją, począł uciekać krzycząc, że wszystko w okół gore. Nie mniej słabym czuł się zrazu żołnierz, który także zjadł był trochę tej fatalnej słodyczy; ale że wkrótce napadły go wymioty, więc siły powróciły mu zwolna. Gdy tak leżał spoczywając pod wozem, nagle zerwał się, wskoczył na konia, i zaczął uganiać po pustyni. Spadł jednak niebawem na ziemię i zasnął natychmiast pozostając w tej samej pozycji ciała przez kilka godzin, jak gdyby był martwym. Ciepła woda, której Saint-Hilaire wypił ilość ogromną, sprowadziła w końcu skutek pożądany, poczem czuł się znacznie zdrowszym, i wzrok odzyskał zupełnie. Zażywszy w dodatku trochę lekarstwa na wymioty z swej apteczki kieszonkowej, ozdrowiał zupełnie. Prawie równocześnie z nim opamiętał się strzelec. Nazajutrz Saint-Hilaire, choć zdrów już, czuł jednak dziwny jakiś rozstrój nerwowy, biedny żołnierz utracił słuch na jedno ucho, a strzelec zapewniał, że mu się zdawało, jakoby całe ciało miał obciągnięte kleistym płynem. Ruszono dalej w drogę, Saint-Hilaire zaś wyraził swoim ludziom życzenie, że chciałby dostać kilka ós z tego gatunku, przyrządzającego miód tak zabójczy. Niebawem znaleziono podobne wczorajszemu gniazdo — a krajowcy, którzy towarzyszyli Saint-Hilaire'owi, nazwali ten gatunek osy Lechequana, i mimo smutnego przykładu z dnia poprzedniego, mimo przestróg Saint Hilaire'a zabrali znajdujący się w gnieździe miód, i spożyli go chciwie. Rzecz jednak dziwna, nie poczuli żadnych następstw boleśnych. Wróciwszy z pustyni Saint-Hilaire zapytywał wiele osób o miód Lechequany. Wszyscy, tak Portugalczycy, jak Hiszpani i krajowcy, twierdzili zgodnie, że miód wspomniany tylko w pewnych okresach czasu jest szkodliwym, odurzając i ubezwładniając gwałtownie — jedynie zaś wymioty leczą skutecznie z tego stanu niebezpiecznego. Zapewniano go również, że doskonale znaną jest im roślina, z której Lechequana ten miód bierze. Że jednak nie mogli mu jej pokazać w tym czasie, więc opisali ją tylko dokładnie, z czego Saint-Hilaire wywnioskował, a co się później także sprawdziło, że to była t. z. paullinia australis.

— Jak wiadomo powszechnie, zabobon gminu przypisuje wielu zwierzętom, w danych okolicznościach, nadprzyrodzone jakieś siły i wpływy wobec ludzi. Ten kret n. p. żłobiący spokojnie korytarze swoje w łonie ziemi, prawie nigdy nie wydobywający się na światło dzienne, i on nawet odgrywa pewną rolę w gadkach ludowych. W Niemczech n. p. wierzy lud święcie, że gdy dziecko przed ukończeniem siódmego roku życia, trzymać będzie żywego kreta w ręce tak długo, aż póki ten nie zginie, wówczas posiada ono moc taką, że może leczyć prostem przyłożeniem swej ręki każde opuchnięcie palców. Także, że gdy na Sylwestra gospodarz rozrzuci kretowiny, to te krety, które były ich sprawcami, zaprzestaną odtąd wyrzucać na wierzch ziemię. W okolicach Renu i Westfalji powiadają, że gdy kto znajdzie w pobliżu swego domu jedną niezwykle wielką kretowinę, a obok niej gromadę mniejszych, jest to zapowiedzią rychłej śmierci któregoś ze sąsiadów. Jeśli czasem kret do tyla zuchwały, że bruździ nawet w izbie, wówczas, dziadek lub babka spodziewać się mogą ciężkiej słabości a nawet śmierci. Przednie łapki i głowa kreta, należały w przekonaniu ludu do niebezpiecznego arsenału czarownic, jako niezawodne środki czarnoksięskie. Dziś jeszcze, tu i owdzie noszą tam odgryzioną łapkę kreta, jako talizman, sprowadzający pomyślność w handlu i przedsiębiorstwach. W kilku miejscowościach Westfalji trwa ten zwyczaj ustawicznie, iż rankiem 22go lutego, mieszkańcy każdego domu obchodzą go pilnie i pukają do wszystkich drzwi aby w ten sposób wypędzić t. z. ptaka słonecznego, jakieś bajeczne zwierzę. Gdyby zaniedbano to uczynić — powiadają — wówczas dom i ogrody zostałyby niechybnie spustoszone przez szczury, myszy, krety, gadziny, robactwo i wszelkie istoty podziemne. U nas w Polsce, w jednej tylko mierze mieliśmy sposobność przekonać się naocznie, że lud przypisuje kretom siłę niezwykłą. Widzieliśmy często w stajniach końskich wiszącego u powały zabitego kreta. Zapytany, o przyczynę tej wstrętnej ozdoby, furman odpowiedział z powagą, jaką nadawać zwykło przekonanie prawdy głębokie, iż taki zabity kret w stajni przyczynia się niepoślednio do dobrej tuszy koni a także chroni je — ile może — od słabości.

— Do naśladowania i pochwały godnych cnót Chińczyka, należy, obok jego niezrównanej cierpliwości, także bezgraniczny szacunek dzieci dla rodziców. Pewien podróżnik opisuje fakt, którego był świadkiem naocznym a który najwymowniej świadczy o wspomnianej wyżej cnocie mieszkańców niebieskiego państwa. Razu pewnego ujrzał ów podróżnik jak jeden młody, z 30 lat liczący Chińczyk, zwijał się bez najmniejszej protestacji pod bolesnemi razami, pochodzącemi z rąk starej ale gniewnej i wcale dobrze laską władającej kobiety. Zdziwiony tą potulnością młodzieńca, zapytał sąsiada o bliższe szczegóły. Dowiedział się tedy najpierw, że to matka tak chłostała syna. a powtóre że to się powtarza często i co gorzej, bez dania najmniejszej racji ze strony syna, a jedynie skutkiem porywczości staruszki. Atoli zdziwienie Europejczyka nie miało granic, gdy po tej łaźni ujrzał syna pogrążonego w smutku głębokim, tenże zas zapytany o przyczynę odpowiedział temi słowy: „Ach, dobrzy ludzie, matka moja, bijąc mnie dziś, uderzała zaledwie w połowie z tą siłą jak dawniej. Widzę z tego, że siły ją opuszczają i że może niebawem pożegna się z światem. Cóż dziwnego że smucę się srodze na samą myśl, iż mi przyjdzie utracić matkę."

— W r. 1658 gdy Karol X król szwedzki zajęty był najazdem Polski, skorzystał z tego Fryderyk III król Danji, i wypowiedział mu wojnę. Ale Karol rzucił natychmiast Polskę, z szybkością orła przeleciał Niemcy i wkrótce stanął z armią 20.000ną na brzegu małego Bałtyku. Morze pokryte było lśniącą szybą lodu, Karol jednak postanowił mimo to puścić się przez lód naprzód. Na tę niespodziewaną decyzję wszyscy jeneralowie osłupieli z podziwienia, a potem poczęli przedkładać królowi niebezpieczeństwa, na jakie naraża siebie i wojsko całe. Jeden tylko Dalberg, żołnierz i wódz dzielny który walecznością i talentem wzbił się z szeregowca do najwyższych godności, doradzał królowi wykonania pomysłu. Że sam był zdolnym inżynierem, zbadał wpierw grubość i wytrwałość lodu, zdał z tego sprawę królowi, i niebawem armja ruszyła tym szlakiem niezwykłym. Wyprowadzonych naprzeciw niego Duńczyków pobił Karol kilka razy na głowę, i nie troszcząc się wcale o to, czy to kule czy kawałki lodu go opsypywały, zdobywał sobie krok za krokiem, coraz więcej z tego niebywałego pola bitwy. Wkrótce stanął ów śmiałek w koronie przed Kopenhagą i uzyskał dla siebie nader korzystne warunki pokoju.

— Król francuski, Ludwik XI, był jednym z najstraszniejszych potworów ludzkich, jakie kiedykolwiek siedziały na tronie. Kardynała de la Baltue trzymał przez jedenaście lat, aż do jego śmierci. uwięzionego w żelaznej klatce na zamku Duplessis les Tours. Jeszcze okropniej męczył nieszczęśliwych książąt Armagnais, którzy powstawszy przeciw tyranowi popadli przypadkiem w jego ręce. W jednej z wież Bastylji kazał wykopać dół, obmurować go w kształcie stożka ostrego, obróconego podstawą do góry. Biedny więzień wrzucony w taką jamę, cierpiał najstraszniejsze męczarnie, nie mogąc nigdy ni usiąść, ni stać, ni poleżeć przez chwilę gdyż zaraz tracił równowagę ciała. Oprócz tego, dwa razy każdego tygodnia wyciągano ich na wierzch i w obliczu gubernatora chłostano do krwi, co trzy zaś miesiące wyrywano każdemu jeden ząb prostemi obcęgami, kalecząc przytem boleśnie szczękę. Zarówno wszystkim szaleńcom takim, zacny ten monarcha był niezmiernie zabobonnym i wielbicielem zapamiętałym astrologji. Razu pewnego rozgniewał się bez przyczyny słusznej na nadwornego swojego astrologa i postanowił go oddać pod topór kata. Przedtem jednak zawołał go przed siebie i zapytał z szyderstwem, ażali ułożył już sobie horoskop przyszłości. „Nie inaczej, królu" — odrzekł astrolog. „I kiedyż umrzesz?" — zapytał dalej Ludwik. „Na trzy dni przed twoją, monarcho, śmiercią" — odparł chytry wróżbita, przeczuwając zapewne los, jaki mu gotował władca łaskawy. Podstęp ten udał się mu wyśmienicie. Ludwik przerażony odprawił go, oczywiście darował mu życie, co więcej zaś, od tej chwili dbał bardziej o życie astrologa niżeli nawet o własne.

Treść Nr. 17.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).